



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztaach w Niemczech wynosi kwartalnie 1 markę; na poczcie w Austro-Węgrzech 59 cent.

Pod opaską: w Niemczech 1,65 mr., w Austro-Węgrzech 1 złr., za Oceanem 1 dolar.

Redakcja i Administracja „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

W końcu bieżącego miesiąca rozpoczniemy druk oryginalnie na zamówienie „Pracy“ napisanej powieści p. t.:

„Przez ciernie i głogi.“

Autorem jest **Dr. Kazimierz Rakowski**, dawny redaktor naczelny naszego pisma, autor cenionego dzieła o powstaniu poznańskim jak niemniej odznaczonego na konkursie krajowym dramatu.

Powieść „Przez ciernie i głogi“ zainteresować musi każdego, w niej bowiem zamierza autor, tak dobrze obeznany z naszym politycznym życiem i po dziś dzień czynny w niem biorąc udział, odzwierciedlić nasze walki polityczne o utrzymanie naszej narodowości. Będzie to więc **powieść polityczna**, do której dostarczą wątki wypadki ostatnich czasów. Ujrzymy w niej rozkładową robotę — i komisji kolonizacyjnej — i znieprawienie jednostek — i młodzież rwącą się do życia — i nędzę ekonomiczną, która trapi rzemieślnika — i postacie z rozmaitych warstw na wychodźstwie.

„Przez ciernie i głogi“ — to historia młodego syna obywatelskiego, który będąc niejako wyobraźnikiem starych naszych społecznych stosunków, zmuszony jest szukać kawałka chleba wśród obcych, a tam,

przeszedłszy cały szereg prób, na jakie los wystawia człowieka, wraca do kraju wyszedłszy z nich zwycięzko, — wraca przetrawiony, przekształcony, silny i pewny, aby jako wyobraziciel nowego pokolenia stanąć przy sztandarze narodowym — i zwyciężyć.

Przez te „ciernie i głogi“ przejdzie z czasem całe nasze społeczeństwo.



Praca dla przyszłości.

Jeden z ludzi niezwykłych, którzy raz na tysiąc lat się trafiają, znający naturę ludzką i jej słabości, ale też i siłę na wylot, Napoleon I. powiedział: *czego szczerze chce milion ludzi, to stać się musi.* Powiedział to człowiek, który swoją wolę milionom narzucił i urabiał ich w rękę, jak wosk miękką. Posługując się setkami tysięcy ludzi, jako narzędziem swych planów, musiał nimi pogardzać w duszy, i skłonny byłby raczej do lekceważenia przeciętnej ludzkiej woli, niż do przecenienia jej wartości i siły.

A jednak powiedział, że *czego szczerze chce milion ludzi, — to stać się musi.*

Bo w szczerzej woli, w chceniu prawdziwym a stałym tkwi potęga, która świat przekształca; w niej jest źródło siły, która rodzi cuda; ona

jest jak proch, który granitowe skały rozsadza...

Ale też musi to być prawdziwa, silna wola, co sobie obrała serc milion za siedlisko.

Ludzie najczęściej i najbardziej grzeszą połowicznością. Wolę ku celom swym skierować potrafią, ale jeśli te cele nie są ich codziennymi, poziomymi celami, — to wola ich nie jest zazwyczaj zdolna do wyższego napięcia, nie ma hartu stali, ugina się pod lada przeciwnościami...

Czy nas, Polaków, nie ma miliona, którzy wszyscy chcemy urzeczywistnienia jednego celu?

O tak, milion jest, jest i więcej ludzi, którzy czują potrzebę pracowania dla sprawy narodowej i którzy chcą dla niej pracować. Ale ta wola ich taka słaba, oni tak połowicznie, tak niezdecydowanie, pojmują wytknięte cele! Lada przeciwność ich odstrasza i zniechęca, lada pogroźka w nich wątpliwości powodzenia budzi i serca zwątpieniem przejmuje.

Czy wola takich ludzi miliona ma być fundamentem sprawy narodowej? wiotki to fundament!

Wszak każdy z nas, co te słowa czytamy, pojmujemy dobrze potrzebę skupienia sił w obronie egzystencji narodowej, wszak każdy ma możliwość w swym zakresie przyłożenia ręki do tego dzieła.

Pamiętajmy zawsze o tem, że czego szczerze chce milion ludzi, to stać się musi.

Chciejmy więc odrodzenia naro-

dowego, *chciejmy szczerze i naprawdę. Uczmy się męskiej woli*, która się przeciwnościami nie zraża, która jest jak stal hartowna, co na silniejsze uderzenia młota tem silniejszym odpowiada oporem.

Zadaniem naszej prasy jest utrzymać tę wolę, tlejącą w tysiącach serc, — w stanie tak wysokiego napięcia, aby przemocy i uciškowi opór skuteczny stawiała, aby była jednolitą, a nie rozstrzeloną, — aby stała się ową dźwignią, która wbrew dekretom cesarów poruszy z posad nieruchomy gład, którym zawalono drogę do naszej przyszłości narodowej.

Prasa nasza chce być nie tylko szkołą umysłów, ale i woli.

Pamiętajmy, że „czego szczerze chce milion ludzi — to stać się musi“ — i szerzymy wpływy polskich gazet z tysięcy w tysiące. —

Przedpłata na „Pracę“ otwarta.
Redakcja „Pracy.“



Przymierze z socjalizmem?

Wśród szeregu objawów politycznego ruchu, jakie pod naciskiem ostatnich antypolskich rozporządzeń spostrzegać się dają, wybitne miejsce zajmuje nadspodziewany, a nieproszony wylew czułości ku nam ze strony socjalnej demokracji. Socjalna demokracja, na sztandarze której wypisano hasło międzynarodowości, na zebraniach której mówcy pochodzenia polskiego, jak p. Merkowski i p. Róża Luxemburg, rozstrząsają bez ogródek kwestyę, jak łatwiej byłoby zgermanizować Polaków — ta sama socjalna demokracja protestuje przeciw rozporządzeniom Studta i żąda polskiego wykładu religii! Widowisko zaprawdę godne bogów....

Z podziwienia godną zręcznością zabrała się socjalna demokracja do wyzyskania ciężącego nad nami ucišku, aby wśród przeciwników rządu, jakimi jesteśmy i stajemy się coraz bardziej, skaptować sobie zwolenników. Zanim więc obywatelstwo poznańskie zdążyło urządzić zebranie publicznie, aby zaprotestować prze-

ciw rozporządzeniom Studta, socjalni demokraci już się zawinęli i z szybkością błyskawiczną urządzili w Poznaniu zebranie pamiętne, na które podążyły tłumy polskiego ludu.

Niebawem powtórzono ten sam manewr w Berlinie, gdzie socjaliści „polscy“ urządzili zebranie publiczne, aby wobec słuchaczy, nie należących do stronnictwa, występować w roli obrońców sprawy polskiej.

Równocześnie niemal na zjeździe socjalnych demokratów niemieckich, który odbywał się w Moguncyi, omawiano publicznie sprawę polską wogóle, a sprawę Polaków pod zaborem pruskim w szczególności.

Wynikiem tych wszystkich obrad był szereg rezolucji przychylnych dla sprawy polskiej i oświadczających się przeciw systemowi germanizacyjnemu.

To nagłe zainteresowanie się sprawą polską w niemieckiej socjalnej demokracji, która niedawno nawet z berlińskimi socjalistami polskimi miała jakieś komeraże na tle narodowościowym, musiało wynikać z pobudek taktycznych i istotnie tylko chęcią zdobycia sobie zwolenników wśród Polaków zostało wywołane.

Podczas gdy socjaliści w Poznaniu i w Berlinie zachowywali się tak, jakgdyby ich akcja li tylko z miłości uciśnionej sprawy polskiej wynikała, zjazd niemieckich socjalistów w Moguncyi nie uważał wcale za potrzebne tać się z pobudkami nagłych czułości dla Polaków.

Jakoż wystąpiła na arenę p. Róża Luxemburg (autorka broszury przeciw Studtowi, którą rozrzucano po Poznaniu) i w długich wywodach zarzucała swoim własnym stronnikom, że niedość się spieszą z przerabianiem Polaków na niemiecko-beznarodowych socjalistów i że zanadto wiele ustępstw czynią dla patryotycznych dążeń polskich.

Na to jej odrzekł p. Merkowski (z Berlina), że agitacyę między Polakami trzeba prowadzić na tle narodowym do czasu tj. dopóki Polacy, wstąpiwszy w szeregi socjalnych demokratów, nie staną się obojętnymi na swą narodowość. Wyraźnie tu zaznaczył (i to nawet „Polak“),

że faworyzowanie narodowości polskiej i polskiej sprawy ma być tylko pewnego rodzaju środkiem, obliczonym na przyciągnięcie Polaków.

Szczerść ta jest lepszą od kłamanych sympaty centrowców niemieckich. Socjaliści, przyznając, że dla swego własnego interesu, dla rozwoju swej partii wśród Polaków gotowi są ująć się za sprawę polską, stają na stanowisku zasady *do ut des* (wzajemności w interesach). Szczerść o tyle godna pochwały, że przynajmniej wiemy, jak się mamy na tę opiekę socjalistów zapatrywać.

A teraz przyjrzyjmy się warunkom tego przymierza bliżej. Naród polski, walcząc dziś na wszystkich polach z wrogimi prądami, znajduje się istotnie w takim położeniu, że na każdy głos sympaty, na każde, prawdziwe czy udane, oświadczenie przyjaźni, gotów płacić wdzięcznością. I nic dziwnego. Naród, który od stu lat jęczy w niewoli i nie doznał od ludzkości niczego prócz krwawych krzywd, musi się przejmować przyjaznemi uczuciami dla każdego obcego, dla każdego stronnictwa.

My z socjalną demokracją mamy tę powierzchowną zresztą wspólność — że, jak i ona, zaliczamy się do wrogów pruskiej biurokratyczno-policyjnej metody rządów i rzeszy niemieckiej wogóle. Ale ta wspólność nie jest tak głęboką, aby miała w nas zwałczyć świadomość różnic, jakie pomiędzy nami a socjalnymi demokratami istnieją. Więc chociaż by partya tak potężna jak socjalno-demokratyczna w Niemczech chciała z nami jakichkolwiek punktów styczności szukać, nie wolno nam o tych różnicach głębokich zapominać.

Stanowisko nasze wobec socjalnych demokratów wynika zresztą z zasadniczego programu naszej pracy politycznej. a programem tym — na razie przynajmniej — jest samopomoc. Nie szukamy sprzymierzeńców ani w sferach rządowych, ani pomiędzy centrowcami, a tem mniej między socjalną demokracją.

Bo w istocie różnice, jakie nas dzielą, są nie do przebycia. Nasz

świat pojęć — a ich świat pojęć — to dwa nawzajem się wykluczające poglądy.

Przedewszystkiem — co do kwestyi narodowościowej. My zestrzeliiliśmy wszystkie nasze siły na jeden punkt: — na ratowanie naszego narodowego bytu, oni zaś — na przekształcenie ekonomiczno-społecznej organizacyi. My mówimy: choćby nam przyszło głód mrzeć i z nędzą się borykać i kraj do ostatniego wyniszczenia doprowadzić, wolimy nędzę znosić, a być politycznie wolnymi, odzyskać kraj ukochany, narodowości naszej byt zapewnić. Oni mówią zaś: chcemy, aby nie było przedziału społecznego pomiędzy biednym a bogatym, a narodowość jest fraszką, w najlepszym razie posługiwać się możemy narodowymi hasłami dla agitacyi.

Jeśli dla nich narodowość jest fraszką lub wygodnym agitacyjnym płaszczykiem, to za to dla nas ich dążności społeczno-reformatorskie nie mają praktycznego znaczenia. Socjalistyczna doktryna, w swem praktycznem zastosowaniu, jak ją dziś widzimy w Niemczech, przystosowana jest w pierwszej linii do społeczeństwa o charakterze przemysłowym, gdzie przeciw sobie stają wrogo oko w oko warstwy tysiączne robotników i szereg zbogaconych kapitalistów. U nas tego niema, a socjalizm najnowszej doby sam nie wie, jakie ma stawiać postulaty wobec społeczeństwa rolniczego. Podczas gdy zasadnicza teoria socjalistyczna żąda upaństwowienia środków produkcyjnych, a więc i ziemi, — w praktyce podtrzymują tę doktrynę socjaliści w zastosowaniu do techniczno-przemysłowych środków produkcyjnych. Bawarski poseł i przywódca socjalistów, Vollmar, sam wyznał niedawno, że wątpi, aby się dało przeprowadzić na korzyść społeczeństwa upaństwowienie ziemi, a mówił on mając na myśli stosunki rolnicze swego kraju, podobne do naszych.

Gdy więc z jednej strony socjaliści naszych celów uwzględnić nie mogą, a my ich dążności w zastosowaniu do naszych warunków

uważamy jeszcze bardziej za niewykonalne, niż w zastosowaniu do Niemiec, to jakże ideały narodowe połączyć z socjalistycznymi, skoro patriotyzm woła: zwalczaj niemiecką przewagę — a socjalizm woła: stań w szeregu niemieckiej socjalnej demokracji.

Tak, panowie socjaliści! Wśród społeczeństwa wielkopolskiego nie dla was jeszcze grunt! Wpierw musimy załatwić nasze stare rachunki narodowe z rozmaitymi krzywdzicielami, zanim o reformach społecznych myśleć będziemy, bo te u nas dokonują się obecnie z wolna same, pod naciskiem germanizacyi, wysuwając na czoło społeczeństwa szerokie warstwy ludowe.

Ale lud polski pod jednym tylko względem z wielką, bardzo wielką sympatją będzie ku wam spoglądał. Będzie on zawsze mile spoglądał na to, jak podminowujecie cały ustrój państwa, które nas w kleszczach trzyma, — będzie on życzył, abyście kosztem tej kreacyi bismarkowskiej tuczyli się i rośli w siłę, — abyście swą powolną, krecią pracą obluźowali fundament tego gmachu.

My zajęci naszymi narodowymi sprawami, nie mamy zamiaru zrękać się naszych celów, aby się błąkać po manowcach utopii: ale wy stańcie się wewnętrznym wrogiem naszych wrogów — tę pozytywną pracę chętnie uznamy, bo tylko ta dla nas może mieć jakąkolwiek wartość.

Na tem polu spotykamy się już dziś i częściej spotykać się będziemy.

Vester.



Nasza przyszłość w Poznańskim.

(Dokończenie).

VI.

Celem w życiu święte prawo:
Wytrwać, zostać, być Polakiem.

Wierzymy w przyszłość Polski, bo wierzymy w nasz lud. Te słowa już tysiąckrotnie u nas powtarzano i wiele już napisano artykułów o potrzebie i zbawienności budzenia ducha w ludzie wiejskim i uświadamiania ludu w kierunku

narodowym. Są przecież rzeczy, których dosyć często powtarzać nie można, które nawet często powtarzać trzeba, bo słowem właśnie, płynącym z serca do serca, budzi się i krzewi ducha i sieje ziarna dzisiaj dla lepszego jutra. I dlatego to nie możemy dosyć często pisać na temat „ludu“ w myśl słów tego poety, który sam dziecko ludu, wgarnął w siebie wszystkie jego bóle i nędze, ale i całą jego moc i odporną siłę:

„Jest w ludzie siła niespożyta,
„Zbawienie leży pod siermięgą,
„Jak ta w popiele skra ukryta!“

O konieczności uświadamiania szerokich mas ludowych w kierunku narodowym dzisiaj nikt z nas już nie wątpi; w ostatnim czasie nawet nasze „poważne, konserwatywne organa“ hasło to otwarcie wydały. Zachodzi tylko kwestya, jakim sposobem to teoretyczne żądanie praktycznie w czyn, w rzecz dokonaną obrócić? jakim sposobem dotrzeć do tych milionów serc nie zbudzonych dotąd, silnych jedynie swym nieświadomym, biernym konserwatyzmem, rzucić w nich poczucie własnej odrębności narodowej i wywieść z nich nowe zastępy do walki? Bo otóż zdaje mi się, że my o rozbudzeniu i poczuciu narodowym wśród naszego ludu za dobre nie raz mamy pojęcie, że i w tej sprawie kierujemy się optymizmem. Prawda, mamy włościan głęboko uświadomionych, polskich obywateli w całej pełni, ale po za nimi stoi ta rozliczna brać robocza, ta szara masa naszego ludu. Czy wśród tych tłumów jest istotne, głębokie poczucie tego, co to znaczy żyć i umrzeć Polakiem, czy jest zrozumienie różnicy, całej przepaści leżącej między Polakiem a Niemcem, czy jest świadomość całego ogromu krzywd wyrządzanych nam przez tych, co nas gnębią?

Otóż mojem zdaniem, opartem na doświadczeniu pewnem, nie ma tego poczucia w dostatecznej mierze. Obym mógł dać odpowiedź inną! oby głosy, jakie bym chciał słowy swemi wywołać wśród tego

ludu roboczego przekonały mnie, że byłem w błędzie!*)

W tym kierunku więc trzeba nam pracę naszą zespolić; lecz jak? — Środki, któremi można do serc ludu trafić, są różne. Trzeba mu dać przede wszystkim polską karmę duchową w postaci pisma. Tę potrzebę zrozumiał już tygodnik nasz „Praca“ i za chlubę, niemniej za zasługę sobie poczytuje, że znajduje przystęp i serdeczne przyjęcie pod strzechą wieśniaczą i chłopską. Prócz pisma dla dorosłych trzeba ludowi po wsiach ułatwiać nabywanie książek dla dzieci, elementarzy, na których by matki dzieci swe uczyły czytać po polsku. Słyszymy, że w tym względzie ma powstać pewna wyraźna organizacja, że kupcy po małych miastach i miasteczkach będą odtąd mieli stale odpowiednie polskie książki na składzie. Może by wszyscy ci, którzy mają u siebie agentury „Pracy“, także zaopatrzyli się w takie książki i książeczki dla łatwiejszego zaspokojenia potrzeb duchowych naszych abonentów.

Obok słowa czytanego pono jeszcze potężniejszy wpływ ma żywe słowo, z ust idące; niechże go używają ci wszyscy, którzy mają po temu sposobność, którzy mają przystęp do ucha i serca naszego chłopca wiejskiego. Przeto zwracamy się znowu, jakeśmy już to przed niedawnym czasem czynili, do naszych gospodarzy, do naszych włóścian z tem wezwaniem, by szli między tę szeroką brać roboczą ze słowem szczerze polskiem, budzącem do polskiego życia i do poczucia krzywdy, jaka nam się dzieje.

Dla ciebie i wprost do ciebie piszę te słowa, ludu polski! niech one dojdą tam wszędzie, gdzie pod sukmaną chłopską polskie serca biją miłością tego wszystkiego, co nasze, co polskie, nadzieją lepszej przyszłości, bólem odwiecznej krzy-

wdy, jaką nam przybysz niemiecki na naszych ojców ziemi wyrządza!

A kiedy uczucia te, będące dzisiaj dla Polaka tem, czem dla ptaka powietrze a woda dla ryby, staną się nieoddzielną częścią twojej polskiej, chłopskiej duszy, wtenczas i ten *obowiązek* służenia sprawie ojczystej rozumem i mieniem, sercem i duszą, ten *obowiązek*, do którego ciebie dzisiaj wołają, a do którego Polak każdy się rodzi i dla którego umierać powinien, stanie się konieczną ducha twego potrzebą i życia słodyczą. Wtenczas, o ludu polski, staniesz się tem, co w tobie już dzisiaj wszyscy widzimy: ostoją naszej polskości wśród zalewu germańskiego, podwaliną, na której przyszłość nasza powstanie — wolna i sprawiedliwa.

Poznańczyk.



Otwarcie teatru miejskiego we Lwowie.

Dnia 4-go października Lwów, a wraz z nim cały kraj obchodził uroczystość otwarcia nowego teatru.

U wylotu wałów hetmańskich wzniósł się kosztem półtora miliona guldenów (dwa i pół miliona marek) wspaniały gmach, poświęcony sztuce polskiej. Złożyły się nań ofiara kraju — i ofiara miasta Lwowa.

Uroczysty obchód teatru, którego kierownictwo powierzono zasłużonemu i wytrawnemu znawcy sztuki p. Pawlikowskiemu, był też świętem dla Lwowa, był uroczystością, w której Polska cała brała serdeczny udział.

Uroczystość otwarcia miała następujący przebieg:

Zrana o 11-ej zjechali wszyscy zaproszeni do gmachu teatru i zapełnili westybul i klatkę schodową, ozdobioną pysznymi marmurowymi balustradami oraz plafonem, na którym widać dzieła pędzla polskich artystów.

Tę klatkę schodową, mieszczącą z górą tysiąc osób, ludzie przepełnili od brzegu do brzegu. Na dole między arkadami, na płaszczyźnie jedna stanęła ławica kontuszów i białych krochmalonych gorsów, na głównych szerokich schodach wznosiła się w górę druga, rozlewała się w małą płaszczyznę, obok stolika ze świecami i rozgałęziała się znowu w górę na prawo i lewo niktąc w korytarzach wiodących do foyer, aby

wyrzeć z po za słupów arkadowych dookoła: oparta o balustrady w dół spoglądająca.

Wyżej na drugim piętrze między drugimi szeregami filarów panie strojne, w uroczystych szatach.

Kogo tam nie było! Wszystko, co czemkolwiek tylko wyrosło ponad poziom szarego, bezimiennego tłumu, znaleźć można było.

Dla gości zarezerwowano miejsca na schodach. Imponujący był to widok, gdy obok prezydenta miasta Lwowa, w uroczysty płaszcz przybranego, stanął burmistrz i wiceburmistrz miasta Pragi, niosąc od bratniego czeskiego narodu pokłon i pozdrowienie, — a dalej w malowniczym zestawieniu połyskiwały wśród fraków kosztowne polskie stroje: delie, kontusze, żupany.

Krótko po jedenastej rozpoczął uroczystość ks. arcybiskup Issakowicz.

Ubrano go w infulę, kapę, pastorał, szmer głosów się uciszył i arcybiskup począł mówić. Przywitał zgromadzonych pozdrowieniem chrześcijańskim. Przyszedł poświęcić gmach sztuki dramatycznej, a chociaż zdala stoi od niej, to wie, że pochodzi ona od Boga i piękną jest, tak piękną, że ze św. Augustynem zawołać można: „jakże późno ukochałem Cię, jak późno poznałem.“ Ale ta sztuka, oby nigdy nie była swawolną i rozpustną, oby stąd nigdy nie wychodziło zgorzenie i zepsucie, ale zdrowie narodu, jego nauka i rozwój. Zaczęła się następnie liturgia łacińska:

Asperges me hyssopo et mundabor...

Kilku księży odpowiadało słowa psalmu, a jeden z nich ks. Mardyrosiewicz odłączył się z kropielnicą i poszedł kropić święconą wodą cały teatr.

Równocześnie zaś zabrał głos, architekt-budowniczy teatru, radca Gorgolewski. Oddał on teatr miastu w ręce prezydenta, zaznaczając, że wywiązał się z podjętego zaszczytnego zadania, o ile mu siły starczyły. Zakończył mowę podziękowaniem swym współpracownikom.

Odpowiedział na to dłuższem przemówieniem prezydent miasta p. Małachowski, oświadczywszy, że miasto Lwów zawsze umiało odczuć obowiązek popierania polskiej sztuki dramatycznej; prezydent mówił:

Jeżeli zaś gdzie, to w naszym kraju, obowiązek ten jest poważniejszy; — jest nas tu bowiem wielu, którzy dobrze pamiętamy, jak lat temu ledwie trzydziści kilka — w tym oto sąsiednim budynku Skarbkowskim komornem tuliła się, ledwie że tolerowana sztuka polska, zawisła od łaski obcych żywiołów. Wówczas poznaliśmy, jak boleśnie rani serce, gdy sztuka nasza nie ma własnego dachu.

Byliśmy głodni, łaknęliśmy pokarmu

*) Redakcja nasza, dążąca do rozbudzenia samodzielnej myśli wśród ludu, czeka na listy włóścian i chłopów, któreby były odpowiedzią na pytanie naszego współpracownika. Listy te umieścimy w „Pracy.“ — Przypisek Red.

duchowego, spragnieni gorącego słowa polskiego, a tu rozbrzmiewały dźwięki obcej nam mowy.

Odetchnęliśmy swobodniej, gdy w r. 1871 zdołaliśmy uzyskać to, iż gmach Skarbkowski oddany został wyłącznie naszej narodowej sztuce, ale czuliśmy, że i wtedy zdanie nasze tylko w części spełnione, że winniśmy dążyć do tego, ażeby sztuka miała swój własny dom, dla niej wyłącznie i na zawsze poświęcony.

To piękne zadanie powinna była spełnić stolica kraju już dawno; — nie dozwolił jej tego brak autonomii, nie dozwolili ci obcy, którzy niedawno tutaj rządząc, nie poczuli się do obowiązku zdziałania czegokolwiek dla naszej sztuki.

W tych krytycznych czasach znalazł się człowiek prywatny, który pojmując całą doniosłość sztuki dramatycznej, poświęcił jej część swego życia i swej fortuny i własnym kosztem i staraniem wystawił jej przybytek, w którym się rozwijała przeszło pół wieku. On zastąpił gminę w spełnieniu jej zadania. To też pierwszy i największy mój dziś obowiązek wdzięczności oddania czci pamięci tego zasłużonego męża, Stanisława Skarbka, równie jak i tym, którzy z nim i po nim na Skarbkowskiej scenie pięćdziesiąt lat przeszło wiernie służyli polskiej sztuce.

Wreszcie oddał prezydent teatr dyrektorowi p. Pawlikowskiemu. Następnie zabrał głos marszałek kraju hr. Badeni, mówiąc w te słowa:

Życzenie mamy dziś jedno. Oby ten teatr był istotnie przybytkiem sztuki ze szczególnem uwzględnieniem sztuki narodowej.

Wniknąć w myśl autora, tę myśl rozumieć, z konsekwencją uzupełnić, dążyć do największej prawdy, która w teatrze jest do pewnego stopnia przeciwieństwami prawdy życiowej, bo służy do wywołania jak największego złudzenia, stworzyć całość piękną, słuchacza zając, przykuć, podnieść, prostotą, naturalnością i talentem wywołać wrażenie i zadowolenie na poczuciu piękna oparte — to zadanie teatru — trudne może, ale tak wdzięczne i zaszczytne, że już samą usilność w dążeniu do tego celu zasługuje i znajdzie uznanie, nawet gdyby starania nie zawsze zupełnym uwieńczone były skutkiem.

A jeżeli bezsprzecznie, umoralnienie nie jest zadaniem teatru, bo przecież pośrednio teatr, jak wogóle sztuka, przenosząc widza w świat idealny, często lepszy i szczytniejszy od smutniejszej rzeczywistości — wywołując w nim wrażenia na drodzej przeszłości oparte, tem samem podnosi i uszlachetnia.

— Czy możemy oczekiwać spełnienia tych nadziei?

Sądzę, że tak, gdy Reprezentacya miejska powierzyła kierownictwo teatru człowiekowi, który przynosi na to stanowisko głębokie wykształcenie, zamiłowanie i ofiarność dla sztuki i ma już za sobą zaszczytną przeszłość.

Wśród ogólnej uwagi zabrał następnie głos burmistrz miasta Pragi dr. Srb wyraziwszy radość, że reprezentacya stolicy Czech, może wziąć udział w tej narodowej polskiej uroczystości, przyniósł pozdrowienie ze złotej Pragi i od bratniego narodu czeskiego. Rada miasta Pragi pamięta dobrze udział Polaków w uroczystości czeskiej Palacky'ego i z tem większą ochotą bierze udział w poświęceniu przybytku polskiej sztuki i poezyi, że to słowiańska sztuka.

Następnie wręczając wieniec laurowy odczytał dr. Srb adres, w którym między innymi czytamy:

„Oby ten wieniec przypomniał Wam zawsze, że jesteśmy gałęziami na tym samym pniu słowiańskim i że jesteśmy z Wami zgodni nie tylko w kulturnym, ale także w politycznym względzie. Ludność m. Pragi żywi niepłonącą nadzieję, że oba braterskie narody zgodnie postępować będą w myśl hasła: „Za waszą wolność i naszą!“

Przemówienia p. Pawlikowskiego wysłuchała publiczność z wielką uwagą. Mówił dyrektor w te słowa:

Wyraziliście życzenia, jakie żywicie, wypowiedzieliście nadzieje, jakie przywiązujecie do instytucyi, którą dziś z pomocą Bożą otwieramy. Mnie, na którego barki spada przeważna część odpowiedzialności za jej prowadzenie, wypada (z podziękowaniem za miłe i zaszczytne słowa, które do mnie zwróciliście) zapewnić, że o ile powodzenie teatru zawisło od pracy kierownictwa, to na tym czynniku mnie nie zbraknie. Całego siebie oddaję tej scenie. Przyszedłem tu nie po co innego, jak tylko, aby pracować. Pracować dla sztuki w ogóle, dla sztuki polskiej w szczególności! Świadom jestem w całej pełni znaczenia, jakie ma sztuka dla naszego narodu. Jak długo nie mamy we wszystkich dzielnicach wspólnych — o aktualnych mówię — interesów politycznych, dopóty interesu kulturalnego są łącznikami między rozdzielonemi częściami tej Ojczyzny. A w ich rządzie, na jednym z pierwszych miejsc — sztuka.

Po kilku innych przemówieniach nastąpiło podpisywanie aktu pamiątkowego uroczystości przez wszystkich obecnych. Z aktu tego warto przytoczyć następujący ustęp końcowy, który w szlachetny i podniosły sposób oddaje myśl przewodnią całej uroczystości:

„Niniejszy akt dokonanego ukończenia i otwarcia teatru miejskiego, którego pierwsze artystyczne kierownictwo spoczęło z uchwały rady miejskiej w rękach Tadeusza Pawlikowskiego, b. dyrektora teatru miejskiego w Krakowie, niech będzie świadectwem dla potomnych, że jeżeli gmina nie oszczędziła znacznych ofiar dla tego gmachu, uczyniła to dlatego, że w naszym położeniu politycznym uważała teatr nie tylko za miejsce szlachetnej rozrywki, ale także jako ważną twierdzę narodowej myśli.

„Oby więc Najwyższy, spełniając życzenia wypowiedziane przy założeniu kamienia węgielnego raczył uczynić ten gmach prawdziwym żnierzem sztuki polskiej, i oby w nim i z niego brzmiała zawsze nasza droga mowa ojczysta na pożytek miasta, narodu i wiekopomną sławę Imienia polskiego! Podpisz.“

Wreszcie odśpiewały połączone chóry mieszane „Lutni“, tow muzycznego „Echa“ (około 300 osób). przy akompaniamencie orkiestry teatralnej, pod batutą p. Czelańskiego, wspaniałą kantatę Jana Galla, do której ułożył p. Witold Schreiber, nauczyciel gimn. w Tarnopolu, następujące słowa:

Przyjm pieśń, przyjm pieśń na powitanie
Ach! Ciebie w marzeniach wykołysał lud,
Bo wie, że z Tobą lepsza doba wstanie,
Bo wie, że w Tobie odrodzenia cud.

I dziś, gdy wieku fala nowa
Świat w kraj nieznanych wieździe sfer
On w Tobie swe pamiątki chowa
I uczuć swych powierza ster.

Więc prowadź sercem niezachwianem,
Siej wiarę wśród ciernistych dróg,
Bądź wodzem Mu i bądź kapłanem,
Aż wolności dzień zapali Bóg!...

Po uroczystości odbyło się śniadanie u prezydenta miasta, na które prawie wszyscy obecni się udali. — Wieczorem zaś odbyło się inauguracyjne przedstawienie w teatrze. Rozpoczęto „Prologiem“ Kasprowicza, następnie dano komedyjkę stylową Fredry, a wreszcie operę Żeleńskiego „Janek“. Potem odbył się raut u marszałka krajowego.

Z Poznańskiego widzieliśmy p. Edmunda Rygera, dyrektora teatru, oraz p. Józefa Kościelskiego z Miłosławia.

Redakcyę „Pracy“ na wszystkich uroczystościach i zebraniach reprezentował dr. Kazimierz Rakowski.

Oby otwarcie nowej tej sceny polskiej oznaczało nową erę w historii sztuki dramatycznej polskiej!

R....



JAN KASPROWICZ.

Z prologu na otwarcie teatru

w Lwowie.

(Hymn na cześć pieśni).

*Niech się nam świeci cudny kwiat paproci,
niech się nam świeci wonny, jasny dzień!
Oto już w zorzy śnieżny szczyt się złoci,
który tak długo obleczon był w cieni.*

*Niechaj nam żyje w nieprzerwane lata
tej naszej pieśni wszechpotężna moc:
ona blask sieje po rozłogach świata
i ze serc ludzkich ciemną płoszy noc.*

*Zmiesięcznych mgławic lotne widma tworzy,
z piany potoku i z poszumu drzew;
przez nią przemawia odwieczny duch boży
jak świst wichury lub jak jezior śpiew.*

*Ona to z duszy wywabia prostaczej
miłości szeptów słodki, wonny czar;
głos daje zbrodni, nocio i rozpaczy,
jest matką czynów i wspaniałych mar.*

*Rycerzy budzi uspiionych przez wieki,
śród krwawej tury prowadzi ich w bój
i dzień zwycięstwa przybliża daleki
i w tryumf zmienia tysiącletni znoj.*

*O boża pieśni! o cudna paproci!
Ty w naszych sercach na wieki się pleń!
W niezgasłych blaskach niech się dzień
twój złoci,*

Nieustającej chwały jasny dzień...



Konferencye ministryalne w Poznaniu już się skończyły. Z tajemniczości obsłonek nie przedostało się do wiadomości publicznej nic, prócz głuchej wieści, że urzędnicy wszelkiego rodzaju mają być zawezwani do jeszcze energiczniejszego popierania niemczyzny.

Co prawda to trudno się domyślić, w jakim kierunku mogłaby się dalej jeszcze posunąć gorliwość urzędników pruskich w popieraniu Niemców tam, gdzie są Niemcy i Polacy do wyboru. Na dowód, że urzędnicy i teraz już nie przebiegają w środkach, przytaczamy wyjęte z pism niemieckich komentarze do afery, zaszłej w kawiarni poznańskiej „Eldorado.“ Do tego lokalu, będącego własnością p. Fischbacha, Polaka, przyszło dwóch Niemców — jeden urzędnik landshaftowy, a drugi urzędnik jakiegoś biura ubezpieczeń.

Obaj Niemcy zachowywali się tak skandalicznie, że musiano ich wyprosić. Wyrzucanie za drzwi spotykało tych młodych ludzi już często i to z ręką p. Graefe, Niemca, który publicznie to oznajmia.

Niebawem po tej aferze policya cdebrała kawiarni polskiej koncesyę nocną.

Zapewne podziękowanie za „popieranie niemczyzny“ odbierze niemiecki kapitan Besser, który na niemiecki sposób „krzewi kulturę“ w Afryce między murzynami, a o którym pisze korespondent jednego z pism:

„Okolo d. 10-go lutego przybył do miasta Bakundu kapitan Besser z 200 żołnierzami. Murzyni, na wieść o jego przybyciu schronili się w lasy. Część jednak pozostała, wierząc naszym zapewnieniom, że nikomu nie stanie się nic złego. Wyszli na tem niedobrze! Nakazano im dostarczyć orzechów kokosowych, pisangu, kozy i kury. Murzyni spełnili żądanie. Następnie związano naczelnika plemienia, aby nie mógł uciec, i zaprowadzono do lasu, z żądaniem, aby wskazał sztukę bydła na rzeź. Pokazał jednego wołu — nie podobał się. Pokazał drugiego — nie podobał się również. Spostrzeżono nareszcie piękną cielną krowę i zastrzelono ją, co murzyni, jak zresztą także i biali, uważają za krzywdę.

Wieczorem, żołnierze rozproszyli się po mieście i zaczęli grabić. Ponieważ po takim początku można było obawiać się jeszcze gorszych rzeczy, czarni pociękali w nocy i musiano ich rano sprowadzić przemocą. Zabrano około dwudziestu do dźwigania bagażu, i od samego miasta zaczęto się znęcać nad nimi bez litości. Zaraz pierwszej nocy kilku murzynów uciekło. Odtąd wiązano ich na noc. Przez dwa dni nie dano im nic do jedzenia. W Ediki (na drodze do Mundame) żołnierze zabili z nieznanym przyczyn pierwszego z niewolników. Rozumie się, że inni przerażeni tem zabójstwem, pomyśleli na nowo o ucieczce. Do jednego z uciekających strzelono dwa razy. Oba strzały chybiły. Puszczono się za nim w pogoń, schwytano go i zakuto w kajdany. Pomiedzy tymi niewolnikami był pewien bardzo poważany murzyn z Bakundu, który cierpiał od dawna na bardzo bolesne gruczoly na stopie. Zabrano go mimo to i kazano dźwigać ciężkie brzemie. Gdy nie mógł, dopomagano mu kijami i uderzeniami pałasza. Nareszcie, gdy nie mogąc ujsc dalej, upadł na drodze i nie podnosił się mimo bicia, zatłuczono go na śmierć i pozostawiono trupa na drodze. Znaleźli go tam później Europejczycy i pogrzebali. Kij, którym zabito tego człowieka, pokazywali nam później ludzie z Bakundu. Była to gałąź gruba jak ramię,

zbroczona krwią. Innego murzyna z Kake, który również nie mógł ujsc dalej, zabito w taki sam sposób i pozostawiono na drodze. Pan K. (lekarz) opowiadał nam, że spotkał na drodze również trupy pomordowanych murzynów. Jeden z nich żył jeszcze, ale miał pałaszem odcięte całe łydki, tak, że zwieszały się na 20 centymetrów. K. obwiązał mu rany. Dalej opowiadał nam, że w miejscowościach położonych dalej na drodze, biali podobno dopuszczali się również okrucieństw, a w pobliżu miasta Kokomba powiesili nawet kilku murzynów.

Gdy murzyni z Bakundu, ogromnie przeredzeni, przybyli nareszcie do Mundame, umieszczono ich pod gołym niebem, w skwarze słonecznym; następnie musieli przynieść żołnierzom wody, a potem ustawiono ich ku uciesze żołnierzy znowu na słońcu, pomimo, że od dwóch dni nie mieli nic w ustach. Wreszcie odesłano ich do domu, z wyjątkiem dwóch, których z nieznanym przyczyn żołnierze zabrali ze sobą w głąb kraju.

Podczas gdy tak Niemcy w Afryce zabawiają się polowaniem na ludzi, zapowiedziana w kilku pompatycznych mowach wojna odwetowa w Chinach nie posuwa się ani na krok naprzód. Waldersee przyjechał do Chin, niby jako głównodowodzący siłami wszystkich mocarstw, a tu na samym wstępie, gdy chciał obcym generałom wydawać rozkazy, odpowiedzieli mu wszyscy, że zachodzi małe nieporozumienie, ponieważ on tylko na wypadek wojny objąć ma naczelną władzę, a że zaś rządy pragną pokoju z Chinami, więc życzą mu dobrego zdrowia i zabawy w Chinach, jako koledzy, ale nie jako podwładni. Wreszcie cesarz chiński wystosował do cesarza niemieckiego telegram z przeproszeniem za zamordowanie posła niemieckiego, za co otrzymał odpowiedź, aby ukarał winowajców, a Niemcy się tem zadowolnią. Zdaje się więc, że szerokie plany zawojowania Chin i wymordowania przynajmniej ze dwóch milionów Chińczyków zostały zredukowane do pewnych skromniejszych granic.

Nauczka, jaką buta pruska odbierze w Chinach, na zdrowie tylko Niemcom wyjdzie.

W całej Austrii ruch przedwyborczy zaczyna się żywo objawiać, chociaż nikt prawie nie wierzy, żeby ten nowy parlament, który wyjdzie z grudniowych wyborów, był choć troszeczkę lepszy od dawnego, gdyż dopóki zaogniony spór czesko-niemiecki nie zostanie jakoś ku zadowoleniu obu stron załatwiony, dopóty nawet myśleć nie można o pracy parlamentarnej.

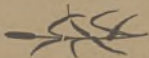
To też każdy, kto ma władzę, czy też zdolności, każde stronnictwo wystę-

pujące do walki wyborczej wypisuje w swoich manifestach sposoby, za pomocą których by można przecieżyć jakoś do zgody przyprowadzić obie poważnione narodowości. Niewiadomo, a właściwie nawet niepodobieństwem jest, ażeby na podstawie dzisiejszego ustroju monarchii, gdzie każdy naród do siebie ciągnie, a nad wszystkimi chcą zapanować Niemcy, można mówić cośkolwiek o zaprowadzeniu ładu w państwie i porządku.

Austria musi się wyrzec swojego niemieckiego charakteru i to koniecznie, gdyż albo istnieć przestanie, albo ludy pod jej panowaniem zostające, jęcząc będą pod jarzmem absolutyzmu i przygniatającej całej życie wojskowości.

Zdawałoby się też, aby przynajmniej tam, gdzie chodzi o odparcie skierowanych przeciw całej Słowiańszczyźnie zarzutów, Polacy na arenie parlamentarnej potrafili solidarnie z Czechami iść przeciw wspólnemu wrogowi — niemieckiej zachłanności.

K. O.



PRZEGLĄD PRASY.

Niezwykły w dziejach prasy polskiej proces toczył się niedawno w Gnieźnie przeciw redakcyi „Lecha“, a to o artykuł, w którym patryotyczne to pismo zarzucało księdzu Warmińskiemu z Jaksic, że na wyborach z dnia 7-go lipca nie oddał swego głosu na kandydatów Polaków, lecz na Niemca i to na protestanta.

O tej smutnej sprawie pisze „Lech“:

„Jako świadek występuje proboszcz Warmiński z Jaksic, ma lat 61, na imię Teodor, ubrany po cywilnemu, bez obojczyka i bez kanonów.

„Przynajmniej, że ojcowie rodzin w jego parafii oddali przy wyborach do katolickiego dozoru szkolnego swe głosy na Stanisława Gutorskiego i Stanisława Wolskiego, i że o tem wiedział, bo głosował jako jeden z ostatnich i przyznaje dalej, że oddał swój głos na protestanta Meyera i katolika Jana Kosiaka. Na pytanie obrońcy, co skłoniło świadka jako księdza katolickiego do oddania swego głosu na członka dozoru katolickiej szkoły protestantowi, tłumaczy się świadek tem, że należało zdaniem jego wybrać także mieszkańca wsi Strzempkowa, w której mieszkał Meyer, i która do szkoły w Jaksicach należy, aby wszystkie wsie miały swych reprezentantów w dozorze. Obrońca pyta, czy w Strzempkowie nie ma katolickich ojców rodzin, którzyby mogli być wybrani. Świadek przyznaje, że w Strzempkowie jest posiadziciel Polak i katolik, p. Trzebiński i jego robotnicy, lecz Meyer był odpowiednim, ponieważ już dawniej w dozorze był czynny i było życzeniem obecnego na wyborach komisarza obwodowego, aby wybrać na nowo Meyera, którego peryod urzędowy upłynął, i który w przeszłych przed kilku laty odbytych wyborach, jak wyraźnie świadek

zapewnia, głosami polskimi wybrany został. Z zeznania świadka dalej wynika, że Meyer i Kosiak oddali swe głosy na siebie, i że oprócz głosu świadka żadne inne głosy na tych kandydatów nie padły.

„Na ostateczne pytanie obrońcy, którego stawieniu pierwotnie przewodniczący się sprzeciwia, które jednakże wskutek stanowczego żądania świadkowi stawia, czy świadkowi jest przykro, że jako ksiądz głosował na innowiercę, odpowiada świadek przecząco.“

Wyrokiem sądu skazany został redaktor „Lecha“ na trzy miesiące więzienia.

Warto tu przytoczyć co pisze o germanizatorach - księżach w Prusach Zachodnich toruńska „Gazeta codzienna“:

„Uznając bez zastrzeżeń zasadę równouprawnienia narodowości w kościele, pytamy:

„Jakiem prawem ks. Hoppenheidt w Biskupcu większą część, a ks. Schwanitz w Sepólnie i jeszcze inni proboszczowie wszystkie dzieci rodziców polskich przygotowują do Sakramentów świętych w języku niemieckim?

„Jakiem prawem parafiom polskim bywają nasyłani duszpasterze, wrogo usposobieni dla narodowości polskiej, mówiący po polsku tak okropnie, że aż uszy bołą?

„Jakiem prawem ks. Biskup Thiel zaprowadził we wszystkich, bez wyjątku, nawet w czysto polskich parafiach dyecezyi warmińskiej, regularne, przynajmniej raz co miesiąc kazania niemieckie?

„Jakiem prawem w dyecezyi paderborskiej w parafiach polskich przeważnie, a nawet w dziewięciu dziesiątych częściach, ustanawiani bywają proboszczowie, nie umiejący ani słowa po polsku, a dzieci polskie nie mogą przystąpić do Sakramentów świętych, zanim się nauczą po niemiecku?

„Jak to wszystko pogodzić ze zasadą równouprawnienia w kościele, uznaną także przez pismo, które otaczają opieką, wpływowi duchowni narodowości niemieckiej?

„Może nam kto powie, że to skutek nacisku rządowego, że za wszystko odpowiada władza świecka?

„To fałsz! Władza świecka przegrała już raz wojnę z kościołem i na nową walkę kulturną się nie odważy i odważyć nie może, bo na to nie pozwalają obecne stosunki polityczne, nie pozwala mianowicie czerwone widmo socjalizmu i anarchizmu. Gdzie władze duchowne chcą, tam mogą wymierzyć i istotnie wymierzają Polakom sprawiedliwość.“

„Jakaż potęga może tych, którzy z urzędu swego, mają być opiekunami ludu polskiego i pośrednikami między tym ludem a Stwórcą i Odkupicielem jego, zmusić, aby na tym ludzie dopuszczali się bezprawia?

„Takiej potęgi nie ma na świecie, a „kościół katolicki nie zna, o ile chodzi o religię i nabożeństwo, różnic narodowych. W jego łonie wszystkie narodowości, mniejsza o to, którym mówią językiem, są zupełnie równouprawnione, i mają prawo żądać, aby je zupełnie równo uwzględniano.“

„Jeżeli, wbrew tej zasadzie, Polacy nie są w kościele uwzględniani na równi z Niemcami, jeżeli doznają krzywd wielorakich, to krzywdziciele, choćby posia-

dali święcenia kapłańskie, choćby piastowali najwyższe urzędy i dostojenstwa nie są prawdziwymi katolikami, tylko zdrajcami, których prawi katolicy, bez względu na narodowość, zwalczać powinni.“

Do tego poważnego wniosku dochodzi „Gazeta „codzienna“ po głębokim namyśle i rozważeniu sobie sprawy. Musi już istotnie zadaleko w głąb serca polskiego społeczeństwa posuwać się germanizacya, skoro pismo polskie do tak przykrych dochodzi konkluzji. Położenie istotnie się zaostrza, gdy oto widzimy i zestawiamy powyższy niewątpliwie słuszny artykuł ze skazanym na więzienie redaktorem „Lecha“. O jedną sprawę walczą obie te gazety — dobro ludu polskiego. A jeśli walka nakazuje wyrzec się wszelkich względów dla przeciwnika, to się ich wyrzekają i walczą — *bezwzględnie*. Dobrze czynią.

Poruszone powyżej sprawy w nader ścisłym pozostają związku ze sprawą obecnie nader aktualną: ze stanowiskiem Polaków wobec niemieckich katolików czyli centrowców. Zanim poświęcimy tej sprawie osobny artykuł, przytoczymy tu głos „Dziennika Berlińskiego“ zasługujący na wielką uwagę:

„Centrum jako stronnictwo należy niewątpliwie do tych, które wobec nas są względnie sprawiedliwymi, a w ludzie niemiecko-katolickim na zachodzie Niemiec — o ile nam wiadomo — głęboko zakorzenione są zasady etyki chrześcijańskiej, wreszcie jako naród katolicki z Niemcami-katolikami wiele mamy punktów stycznych, ale i tu jest jakieś „ale.“

„Nasamprzód powinniśmy pamiętać o tem, że centrowcy nietylko są katolikami, lecz także Niemcami. Aczkolwiek zatem w myśl zasad chrześcijańskich obowiązani są bronić słabszych a uciśnionych, pragnęliby oni przecieżyć w gruncie rzeczy, abyśmy z czasem powoli i nieznanie zgermanizowali się. Życzenie to jest u nich niekiedy silniejsze, niż u wielu najjadliwszych krzykaczy hakatystycznych. Jest jeszcze drugi punkt, który przed katolikami niemieckimi każe nam się mieć na baczności. Wiemy, że w Prusiech Zachodnich, na Ślązku i na wychodźstwie są oni niebezpiecznymi germanizatorami. Przodują w tem nieraz księża niemieccy, na których co chwila dochodzą do naszych pism skargi lub echa protestów.

„Księża ci występują nieraz wyraźnie wrogo przeciwko polskości i nazywają tych Polaków, którzy im się opierają, socyalistami i heretykami, starając się tym i innymi sposobami zohydzić nieposłusznych wśród rodaków.

„A cóż się dzieje u nas? U nas katolicy niemieccy nie są liczebnie dość silni, aby z nami móż walczyć w ten sposób, jak to się dzieje gdzieindziej! mają jednak inne sposoby. Oto ni ztąd, ni zowąd zaczyna się kilku Niemców, zamieszkałych w jakiej czysto polskiej parafii, dopominać niemieckich kazań itd., albo też — w miejscowościach, gdzie mieszka większa liczba katolików niemieckich — wołają nagle o taką ilość niemieckich nabożeństw, do jakiej absolutnie nie mają prawa ze względu na liczebny stosunek swój do Polaków. Mamy w tych przypadkach do czynienia z robotą podziemną jakiejś tajnej ręki, która w ten sposób chce powoli

przyzwyczajając lud polski do niemieckich nabożeństw, aby z czasem energiczniej mózdz sprawę tę chwycić.

A Niemcy katolicy nieraz takich wrogich podszeptów słuchają.

„Co więcej. Wcale nie zbyt rzadko znajdujemy właśnie pomiędzy katolikami najzagorzalszych hakatystów.

„Tak więc z jednej strony zbliża się do nas z mieczem Malhus-hakatysta protestancki, a z drugiej z judaszowskim pocałunkiem katolicki germanizator: i jeden i drugi marzy o zagładzie polskości, ale niebezpieczniejszy jest wróg, który działa zdradliwie, a więc czujność naszą, zdrowie i środki obrony udoskonalać powinniśmy.

„Musimy sobie zatem zdać teraz sprawę z tego, że walczymy nietylko o wiarę, ale i o narodowość.“

Uświadomienie sobie różnicy pomiędzy jednym a drugim należy obecnie do pierwszorzędnych zadań, które opinia publiczna musi się teraz zająć.

Szereg artykułów p. t. „Nasza organizacja społeczno-ekonomiczna“ ogłosiła „Gazeta Ostrowska“.

Przytaczamy wyjątek z jednego:

„Arystokracja pieniężna (kapitalizm) pogromiła arystokrację rodową. Dawne biedne pacholki są dziś magnatami, a magnaci wychodzą za pacholków. Dawna wielkość i wspaniałość szlachty rodowej gaśnie, stacza się z wysokości w przepaść; ziemia przechodzi do rąk grynderów, ryjących w niej na kształt kretów. Tu i owdzie pomagają tej spekulacyjnej i bezdusznej gospodarce niebaczące rządy.

„U nas w Polsce to wstrętne położenie spotęgowały stosunki polityczne i zbrojne powstania, które krajowi pod względem materialnym a często duchowym straszliwie dały się we znaki.

„Kłęski spadające na nas Polaków spiętrzyły się do wysokości wieży babilońskiej. Ustawy antypolskie mają nam wykopać grób materialny i duchowy i pogrzebać w nim na zawsze żywot nasz narodowy.

„Tę sposobioną nam ostateczną ruinę mogli byli Polacy przewidzieć, ale na nieszczęście ziemianie nasi, folgując dawnym a zgubnym tradycjom, żyjąc z dnia na dzień, bez planu i celu życia, zrozumieć tego nie chcieli. Teraz dopiero otworzyliśmy prawie wszyscy oczy, i ze wszystkich piersi rozbrzmiewa okrzyk przerażenia. Jedni, u których nie było pracy ekonomiczno-praktycznej, tracą ducha, drudzy, którzy z podłego lokajstwa gięli kość pacierzową, popadają w rozpacz i przekleństwo. Mała tylko garstka ziemian, rozumiejących grozę położenia, zdolnych jest tej grozie stawiać opór.“

Artykułami poważnie a ze znajomością rzeczy pisanymi przysłuży się „Gaz. Ostrowska“ społeczeństwu naszemu, które w tej przełomowej chwili nierzadko nie zdaje sobie sprawy z wewnętrznych przemian ekonomicznej ustawy.

Przypominamy przy tej sposobności, że z powodu zmiany kwartału należy odnowić przedpłatę na „Gazetę Ostrowską“. Redaktor i wydawca tego pisma, pan Leitgeber, trawi dni i miesiące w zamknięciu w fortecy Ehrenbreitstein. Pozbawiony wolności za zbyt gorące przejęcie się sprawą narodową, powinien przynajmniej to zadośćuczynienie mieć

ze strony społeczeństwa naszego, aby po wyjściu z fortecy mógł znaleźć podwójną liczbę czytelników w swej gazecie. Dlatego też przypominamy o potrzebie popierania tego wydawnictwa.

„Dziennik Poznański“ zwracając się przeciwko napaściom „Posener Ztg.“, skierowanym przeciw osobie X. Arcybiskupa zdaje sprawę z oburzenia, które napaści te wywołały i dodaje:

„Oburzenie to zwraca się przeciwko żydom, za których organ prowincjonalny „Posenerka“ uchodzi, i którzy tę hecę antykatolicką tolerują. Konsekwencją tego będzie wzrost antysemityzmu, i to bardzo zaostrzonego u nas, który może objąć społeczeństwo od najniższych do najwyższych warstw. Zwracamy na to uwagę współobywateli żydowskich w Poznaniu i na konsekwencje, daleko sięgające po za granicami Księstwa. Hece ta antykatolicka tem bardziej oburza, że w sprawie chojnickiej społeczeństwo polskie i katolickie nie dopuściło do żadnych wykroczeń.“

Było by na czasie utrzymać żydom nosa...

Następnie zaś pisze „Dziennik Poznański“:

„W okręgu wybierzemy międzyrzeckobabimojskim rozwinęli antysemitę szaloną agitacją. Spodziewają się, że uda im się doprowadzić do wyboru ściślejszego swego kandydata z kandydatem polskim, w miejsce zmarłego posła do sejmu pana Dziembowskiego. Na zarzut „Post“ że kandydatura antysemita, wyjdzie Polakom na korzyść, odpowiada antysemita „Staatsb. Ztg.“: „W danym razie rozstrzygną konserwatyści, czy ów okręg zdołają Polacy“ — Komitet wyborczy polski dotychczas nie daje znaku życia“.

Spiocha budzimy więc...

Do sprawy wyzysku naszego ludu interesujący przyczynek znajdujemy w „Głosie Ludu Śląskiego“, wychodzącym we Frysztaście. Pismo to, w najbliższym sąsiedztwie mając Oświęcim, siedzibę księży włoskich Salezjan z Turynu, pisze p. t. „Oszustwo loteryjne“:

„Księża Salezianie w Oświęcimiu urządzili loteryję fantową i sprzedawali po całym kraju losy po dwie korony, wypychając je każdemu, czy chciał, czy nie chciał. Łatwowiernych ludzili oni obietnicami pięknych i drogich wygranych, a w prospekcie swoim wypisali, że będą do wygrania konie, powozy, sprzęty domowe, zegary i zegarki, maszyny rolnicze i t. d. Co drugi los miał wygrać. Długie czasy ludzie czekali, a ciągnięcia jak nie było, tak nie było. Energiczniejsi zaczęli się dopominać, pisać, co się dzieje? na co wszystko księża Salezianie prosili o cierpliwość. Wreszcie zaczęto przebąkiwać o kradzieżach itd., tak, że Salezianie z obawy, aby wszystkie nieporządki nie wyszły na jaw, zdecydowali się ogłosić ciągnięcie. Ale jak to urządzili. Zamiast wydać spis wygranych i bezpłatnie doręczyć go właścicielom losów, wydali go jako dodatek do żydowskiego, loteryjnego pisma „Merkury“ tak, że każdy, chcąc się dowiedzieć czy wygrał, musiał kupować „Merkurego“. Nadto kazali posyłać pieniądze na opłacenie przesyłki losów. Jakież jednak rozczarowanie spotkało posiadaczy losów, kiedy zamiast

zapowiedzianych koni, zegarów, sprzętów i innych kosztowności, podostawali bawidelka, fatalaszki, medalioniki, obrazki, jakie na każdym jarmarku za parę centów można dostać. Salezianie mieli jeszcze na tyle bezczelności, że do tych fantów dodawali list, w którym piszą, że mają jeszcze wiele fantów i proszą „dobrotliwe osoby“, aby je kupowały. Jeszcze nie koniec. Zapowiadają, że kto nie chce losu, może przysłać kilka szóstek na „związek mszalny“ i za takiego dobrodzieja będzie się corocznie 12 mszy św. odprawiać. Czy nie jest to wyłudzenie grosza od biednych ludzi?“

Ponieważ w piśmie naszym niejednokrotnie już mieliśmy sposobność zajmować się wspomnianym powyżej wyzyskiem, raz jeszcze tylko powtórzyć możemy nawoływanie, aby nasz lud pamiętał o swoich kościołach najbliższych i rodzinnych zanim na obce cele grosze zaczniesz posyłać.

B. M.



Korespondencya specjalna „Pracy“.

Górny Śląsk, 8go października.

Wydawnictwo „Katolika“ ważne dla swych abonentów zaprowadziło urządzenie w formie bezpłatnego zabezpieczenia na wypadek śmierci, która nastąpiła skutkiem nieszczęścia. Rodzina po każdym abonencie otrzyma 150 do 170 marek wsparcia jednorazowego, jeżeli temuż abonentowi wydarzy się nieszczęście takie, które spowoduje natychmiastową śmierć jego, lub po dwóch tygodniach. Ważne to urządzenie, szczególnie dla obwodów przemysłowych i fabrycznych, gdzie codziennie niemal nieszczęścia podobne się wydarzają, jest pierwszym w naszym dziennikarstwie polskim.*)

„Katolikowi“ należy się, mem zdaniem, szczerze za to uznanie, ponieważ zaprowadzenie tego urządzenia, mianowicie u nas na G. Ślązku, z czasem stać się może bardzo ważnym dla rozwoju sprawy polskiej. Kto u nas gazet polskich nie czyta, z tego sprawa polska nie ma wielkiej pociechy. Na zdanie to zgodzą się wszyscy, którzy znają stosunki górnośląskie, a tych nieczytających jest bardzo, bardzo wielu. Oprócz tego mamy wielką liczbę Polaków z domu, z ojców i dziadów, którzy skutkiem germanizacji, wpływów rozlicznych, otoczenia, stosunków, powoli przepadają dla polskości i toną w niemczyźnie. Ci oczywiście czytają gazety niemieckie, a do polskich nie zajązają. Urządzenie „Katolika“ choć w pewnej części temu zapobiegnie, bo ten i ów właśnie dla owego zabezpieczenia zaabonuje sobie gazetę polską. Najpierw choćby dla samej ciekawości zajrzy do niej, powoli będzie się w nią wczytywał, zagłębiał, myślał, urabiał sobie swoje własne zdanie i z czasem stać się może bardzo pożytecznym i przydatnym członkiem społeczeństwa polskiego. To samo odnosi się i do tych,

*) W ślad za „Katolikiem“ poszły gazety zachodnio-pruskie, mianowicie „Gazeta Grudziądzka“, „Gazeta Toruńska“ oraz „Gazeta Gdańska“ i urządziły, jak wiadomo, istną licytację na Czytelników. — Przep. Redakcyi.

którzy wogóle żadnych gazet, ani polskich, ani niemieckich nie czytają.

Boć jakżeż rozbudzać i pogłębiać w ludzie sprawę polską, jakżeż budzić w nim poczucie świadomości narodowej, jeżeli nie przez książki, gazety! Myślicie u siebie w Poznaniu nad tem, jakby z powodu reskryptu ministra Studta szerzyć jak najskuteczniej elementarzę polskie, żeby one istotnie dotarły do najszerszych warstw ludności polskiej, więc i tu na G. Ślązku wszystkich dozwolonych środków używać należy, żeby lud zachęcać do czytania polskiego. Wam w Poznaniu wolno jeszcze wiece i zebrania urządzać; my i o tem myśleć nie możemy dlatego, żebyśmy po prostu sali nie dostali. Jedyną więc bronią naszą — to gazeta polska. Gdzie jej w domu polskim, przy ognisku rodzinnem nie ma, tam już w pierwszym pokoleniu zanika życie polskie, gdzie dotrze polska gazeta, tam jest nadzieja, że „Vater unser“ się nie wkradnie, lecz rodzice z dziećmi będą odmawiali „Ojczyznę“ w polskim swym ojczystym języku.

Z tego punktu widzenia należy powitać z uznaniem urządzenie, zaprowadzone przez wydawnictwo „Katolika.“ Szczęśliwy to pomysł p. Adama Napieralskiego.

Trudności, jakie robi policja pruska towarzystwom i związkom polskim, przechodzą nieraz wiarę ludzką. Doświadczacie wy tego w Poznańskim, doświadczamy i my tego samego na G. Ślązku. U nas zdarzył się niedawno temu taki wypadek. Bytomski związek robotniczy zwołał zebranie robotnicze w Bytomiu. Zebranie było na czas zameldowane, ogłoszenie umieszczone w dziennikach, plakaty na kamienicach porozlepiane. Tymczasem co się dzieje? Na dzień przed odbyciem zebrania donosi policja zarządowi związku, że na zebranie pozwolić nie może, ponieważ w ogrodzie właściciela sali, na której miało się odbyć zebranie robotnicze, „landwerferajn“ urządza zabawę, i mogłoby przyjść do zakłócenia spokoju publicznego, gdyby dwa te towarzystwa z sobą się zetknęły. Pyszne sobie umotywowanie król. pruskiej policji! Więc dlatego, że „landwerferajn“ pragnie się zabawić, robotnikowi polskiemu ma być odebrane prawo, poręczenie mu przez konstytucyjną pruską. I gdyby to pyszne w swoim rodzaju umotywowanie była policja nadesłała dwa dni przedtem, byłoby jeszcze pół biedy. Zarząd byłby odwołał zebranie w gazetach i nie trudził na nie ludzi z dalekich stron. Otrzymałszy zakaz policyjny w ostatnim dniu, nie mógł tego uczynić. Skutkiem tego około 2000 ludzi przybyło na zebranie i musieli odejść z niczem. Rozgoryczenie i wzbурzenie można sobie łatwo wytłómaczyć. Chwała Bogu, że nie przyszło do gorszych scen. Lecz gdyby to było nastąpiło, któż byłby tego sprawcą? Policja jest na to, żeby strzedz i pilnować porządku publicznego. Tymczasem w tym wypadku zakaz policyjny o mało co byłby wywołał nieporządek publiczny. To wszystko dzieje się w państwie pruskim, w tem konstytucyjnym, którego ministrowie ręce załamują nad niebezpieczeństwem polskiej agitacji, a hakatyści płaczą jak bobry i szlochają nad „uciśnioną“ niemieczyzną. Aby

ten system w prawdziwym przedstawić światło, trzeba by tu przytoczyć jeden ustęp z broszury dr. Skarzyńskiego „Nasza Sprawa“. Lecz ponieważ „Naszą Sprawę“ skonfiskowano i dr. Skarzyńskiemu proces wytoczono, więc i „Pracę“ po przytoczeniu tego ustępu niezawodnie spotkałby ten sam los. To też lepiej go nie przytaczać, bo szkoda dawać 500 marek, albo nawet więcej pruskim kasom. Przydadzą się one na nasze potrzeby polskie.

Na koniec mej korespondencji donoszę Wam, że sympatyczne Towarzystwo św. Alojzego w Bytomiu zgotowało nam miłą niespodziankę w formie odegrania teatru amatorskiego. W Poznaniu, gdzie macie stały teatr, za nic sobie macie teatry amatorskie. Lecz w naszych stosunkach są one bardzo ważnym czynnikiem. Publiczności na przedstawienie teatralne przybyła spora liczba, tak że sala była przepełniona. Amatorzy wywiązali się z swego zadania nieźle, a nawet wcale dobrze, jak na nasze stosunki górnośląskie, w których przy każdej sprawie mamy do walczenia z tak rozlicznymi trudnościami, o jakich Wy Poznaniacy, jakkolwiek też po różach nie stąpacie, ani w przybliżeniu sądu sobie wyrobić nie możecie. To też gościnnemu Towarzystwu św. Alojzego należy się uznanie za przeprowadzenie trudnej i mozolnej pracy i zgotowanie publiczności polskiej „duchowej biesiady.“

Observer.



Głosy od Przyjaciół.

Z miasta, 8-go października 1900.
Szanowna Redakcyo!

W numerze 38 „Pracy“ wyczytałam z zadowoleniem, że są głosy w społeczeństwie naszym zachęcające młodzież serdecznie do czynu i wlewające otuchę w czasie dla niej tak bardzo przykrym.

O ile mi sędzić wolno, to właśnie brak serca — brak łagodnej nagany i serdecznej rady — jest onem źródłem zguby młodzieży naszej. Każdy krok ich podpada pod ostrą krytykę publiczną — każde poślizgnięcie się wywołuje okrzyk oburzenia i zamiast pomocy — społeczeństwo umywa ręce od wszystkiego i winę zwała jedynie na biednych delikwentów.

Lecz czy kto, z grona owych ostrych sędziów, pomyślał, gdzie źródło złego? czy zastanowił się nad tem, gdzie ta młodzież ma czerpać siły — gdzie uczyć się oszczędności — spokojnego życia — miłości do kraju? — Czyż w tych kawiarniach, restauracjach i t. p. lokalach, na które skazuje ich brak rodzinnego kółka? — Czy kto pomyślał, w jaki sposób możnaby złemu zaradzić skutecznie?

Otóż otwórzmy dla młodzieży gościnne podwoje — pozwólmy się ogrzać przy domowym ognisku — pozbadźmy się tych przesądów, że skoro młodzieniec zbliży się do prywatnego domu, to tylko w pewnych, może matrymonialnych zamiarach! Czyż to już dwoje młodych nie może porozmawiać z sobą, przyjaźnie? — czyż mamy się uczyć braku szczerości i sztywnej grzeczności od tych, co nam wydzierają wszystko drogie ser-

com? Takim postępowaniem uczymy tylko młodzież obłudę, a potem dziw, że tyle fałszu wśród młodych, że im tak mało dzisiaj ufać można!

Wrogowie nasi znają te słabe strony nasze, bo popierają gorliwie takie Kaiser-garteny i t. p., by tam przywabiać naszą młodzież, zabawiać w sposób niszczący wiarę i miłość Ojczyzny, by znieczulić sumienie, odrzeć z reszty groszy i patrzeć z tryumfem zwycięzców, gdy taki biedak zbłąkany, opuszczony nawet przez własnych braci, ginie w sile wieku, w chwili, gdzie mógłby z pożytkiem służyć krajowi!

A więc porzućmy fałszywe zapatrywania, przygarnijmy młodzież, zagrzejmy do czynu, nie śmiejmy się z ich błędów, nie zniechęcajmy na samym wstępie na drogę życia, lecz w domach naszych przykładem i sercem zwalczajmy to, czego potępieniem osiągnąć nie możemy. Urządzajmy te zebrania w sposób przystępny wszystkim, niech celem ich nie będzie wystawa, wykwintne potrawy, drogocenne wina, ale „czem chata bogata, tem rada!“

Jeśli w ten sposób łączyć się będziemy, rozprysną lody i zapłonie jasny płomień miłości bratniej i zleje ogniwa nierozzerwalnego łańcucha, będziemy silni duchem, bo dzisiaj duchem tylko zwyciężać możemy! I wtenczas nie już nie zdoła wyniszczyć wpływu rodzinnego życia, ono się stanie pokarmem duchowym na wszelkie losu koleje i każdego z nas za Polem z dumą powtórzy:

„Zda się, że pan domu sobie ścian
i miejsca gdzieś przysporzył,
„A on tylko w domu Tobie drzwi i serce
swe otworzył.“
Marya O.

* * *

Wrocław, dnia 8 Października 1900.
Szanowna Redakcyo!

W jaki sposób wpajają cywilizatorzy tutejsi w młodzież pojęcie o wielkości „Vaterlandu“, o jego przeszłości, okazuje następny wypadek, który jest zarazem świadectwem doskonałości szkół pruskich. W pewnej tutejszej szkole ludowej, miał nauczyciel geografii wykład o Turcyi. Omawiając przeszłość tego kraju, tak się odezwał: „Wiederholt versuchten es die Türken, Europa zu unterjochen und das Christenthum zu vernichten. Doch im Westen blieben alle ihre Versuche vergeblich, dagegen drangen sie im Osten, im Jahre 1683, bis nach Wien vor. Nur der *Einigkeit* und *Tapferkeit* der deutschen Heere, ist es zu verdanken, dass die christlich germanische Kultur gerettet wurde und bis auf unsere Zeit sich erhalten hat. Dass der Polenkönig *Sobieski* Wien befreit hat, ist eine historische Fälschung, da derselbe erst eintraf, als die Türken schon *vollständig besiegt* waren.“ — Charakterystycznym jest, iż ten sam nauczyciel w zeszłym roku wojnę turecką zupełnie inaczej, t. j. zgodnie z prawdą, wykladał. Czy w najnowszym czasie jaki *głęboko uczony* historyk ów fakt historyczny zreformował, czy też pan nauczyciel sam głębokimi studjami do tego rezultatu przyszedł, nie wiadomo. W każdym razie takie przekręcanie i fałszowanie historii, wymownie świadczą o tej tak wychwalanej gruntowności

we wszelkiej wiedzy, tego narodu „poetów i myślicieli.“ Jaka bezczelność, wydarli nam kraj, nie dosyc im na tem, bo kradną nam nawet przeszłość naszą.

Wierzę bardzo, że to dzisiejszym butnym niemiaszkom, mającym takie wygórowane aż do śmieszności pojęcie o wielkości swego „Vaterlandu“, nie bardzo przyjemnie, jeżeli historia pisze, iż był czas, kiedy to posłowie cesarza niemieckiego na kolanach u stóp tronu polskiego o miłosierdzie i litość żebrawi, że to król polski skruszył potęgę, której się cała Europa oprzeć nie mogła. Całe wieki, blisko 1000 lat stała Polska na straży Europy, morze krwi najlepszej przelała w obronie chrześcijaństwa i tej kultury, któraby nas dziś rada ze świata zgładzić i dowieść, że nas nigdy nie było. Tylko jeden raz potrzebowaliśmy przepuścić owe hordy azyatyckie wolną drogą, a z owej przechwalanej kultury germańskiej, ani znaku by nie pozostało. Dla nas zresztą takie przekręcanie przez nich historyi nie jest nowem. Przypominam „Psie pole“ pod Wrocławiem, gdzie to niegdyś taką klęskę im zadaliśmy, iż psy się nimi żywiły. Tymczasem każdy uczony „kulturträger“, skwapliwie swoich landsmanów poucza, że to tutaj Niemcy „bohaterzy“ odnieśli świetne zwycięstwo nad Tatarami czy Mongołami i tyle ich narzneli, że aż psy z całego Śląska na ucztę zleciały a pole walki na wieczną pamiątkę męskości niemieckiej, „Hundsfeldem“ nazwano. Jeszcze kilka lat a jaki *zmyśliciel* szczegółowo opisze jak to było i ile się każdemu psu dostało itd. Wogóle nie ma narodu, który by tak lubił przekręcać historję i nazwy jak Niemcy, nie ma ważniejszego zdarzenia, którego by ze swym narodem nie łączyli, nie ma wynalazku i odkrycia, którego by sobie nie przypisali. Przed kilku laty pewien literatcywilizator zupełnie na serio dowodził, że Kolumb był właściwie Niemcem, a nazywał się Chrystian Hollunder, że się urodził gdzieś w Hanowerskiem, tem i tem mieście i t. d.

Jaka to niegodziwość, że tak znakomita osoba nie chciała się za życia przyznać do niemieckości. Należy ją oczywiście przynajmniej teraz naturalizować. (Tak jak naszego Kopernika.)

Jako chłopiec dostałem raz do ręki książkę (Erzählung für die reifere Jugend) z biblioteki szkolnej, w której autor przedstawia młodego Niemca ozdobionego wszystkimi cnotami niemieckimi. Wywędrował do Londynu i pracował u pewnego mechanika i niby wynalazł tutaj parową machine, ale kolega (naturalnie nie Niemiec) skradł mu model i sam się za wynalazcę ogłosił, a ten kolega zwał się *James Watt*, którego teraz cały świat jako wynalazcę parowej machine uważa naturalnie niesłusznie i niby z krzywdą Niemców. Taką to lekturę podają chłopcom, którzy przecież na to do szkoły chodzą, aby się prawdy uczyli.

Z poważaniem

Stanisław Winiński,

czytelnik „Pracy“ od samego założenia.

* * *

Bernburg, w październiku 1900.
Szanowna Redakcyo!

Będąc już od dawnego czasu abonentem „Pracy“, czytam każde słowo pilnie

i z uwagą, bo to pismo jest bardzo pożyteczne dla całego społeczeństwa, a za tę jedną markę, którą się kwartalnie zapłaci, można bardzo wiele pożytecznych rzeczy wyczytać. Ja sam nieraz długo zatopiony w myślach siedzę po przeczytaniu artykułów. I tak naprzykład przeczytawszy numer 22gi „Pracy“ zauważyłem, że każdemu człowiekowi swoje zapatrywania wolno w „Pracy“ wypowiedzieć; cieszę się z tego i proszę Szanowną Redakcyę, aby i mnie było wolno wyrazić moje zapatrywanie na sprawy poruszone w artykule zamieszczonym w 22 numerze „Pracy“ z podpisem „Poznańczyk.“

Oto współpracownik Szanownej Redakcyi użala się na to, że ilekroć miał sposobność rozmawiania z naszymi braćmi z Galicyi, albo z Królestwa Polskiego, ciężkie zarzuty mu stawiano, że my Polacy pod panowaniem pruskim już prawie krwi polskiej nie mamy. Jeżeli słowa te miałyby być istotnie typowe, to nasi bracia z Galicyi i z Królestwa Polskiego są doprawdy w błędzie. Oni nie mają żadnego pojęcia, jak skrupowane mamy ręce do pracy i jaka to jest mozolna praca! O tem zresztą najlepiej wiedzą niemal wszystkie Redakcyje polskiego pisma, bo pilne oko pruskie strzeże nas na każdym kroku i ubezwładnia. Wy Bracia Galicyanie zupełnie innem powietrzem oddychacie niż my Polacy z pod zaboru pruskiego. Nas jest tylko dwa i pół miliona, a musimy się tak bronić jakby nas było dziesięć milionów. Więc kochana „Praco“ idź swoją drogą odważnie tak dalej, a co rok oczyścisz kilka morgów roli z chwastu i zielska, a ziarno, które z pod Twego pióra padnie przyniesie narodowi owoc stokrotny.

Kochana „Praco“, razem z Twymi współpracownikami, przyspieszajcie kroku i nie oglądajcie się na nic: naród jest za wami, Pan Bóg skróci dni pokuty naszej a cały naród połączony w rzetelnej pracy szczerem zapłaci Wam uznaniem.

Czytelnik „Pracy.“

Ignacy Pokornowski.



Ślub.

Grają organy
Radosną nutę!
W kościele zielen —
Jak posiał rutę!

Pod amboną, popod chórem
Piers przy piersi, stoją murem
Drużki, drużbowie,
Kiej bór w dąbrowie!

Grają organy
Nutę radosną!
W kościele luda!
Jak kwiecica z wiosną!

Kierezyje centkowane —
Gorseciki sznurowane...
Wstęgi barwiste!
A serca czyste!

Grają organy,
Aż echo chodzi!
Idzie wesele,
W pośrodku „młodzi!“

Co najstarsi z gospodarzy
Przyklękują u ołtarzy —
Korną czeladką
Przed Bożą Matką!

Grają organy,
Aż echo chodzi!
Od zakrystyje
Kroczy „dobrodziej“.
Za proboszczem chłopcy w bieli,
Jak len prany na kądzieli —
We dzwonki dzwonią,
Kiej kośba błonia!

Grają organy,
Grają od ucha!
Przed „jegomościem“
„Młody“, „młoducha...“
Błogosławi... Krzyż nad głową...
Przepowiada Boskie słowo
O posłuszeństwie
Wszelkiem w małżeństwie.

Grają organy,
Grają od ucha!
Wzdycha pan „młody“,
Placze „młoducha!“
A dobrodziej z serca prawi:
Jako Jezus błogosławi
Tym, co w narodzie
Żyją we zgodzie!

Grają organy
Nabożnym wtórem,
Zabłyły światła
Złocistym sznurem!
A „jegomość“ kończy mowę:
Jako grzechy Adamowe
Miłość obmywa
Czysta! prawdziwa!

Grają organy...
Aż trzęsie chórem!
Już organista
Jał ciągnąć wtórem...
Przyklękneli — Maryś z Jankiem
Przed Najświętszym, przed Barankiem
Z drużbami społem
Schylają czołem!

Grają organy...
Że w uszach dzwoni!
„Młodemu“ rażno
„Młoda“ się płoni,
A dobrodziej pyta: „Janie!
Czy masz ku niej miłowanie?
Czy bierzesz z woli?
Nie z bogactw, z roli?“

Grają organy...
Że w uszach dzwoni!
Potaknął Janek —
„Jegomość“ do niej:
„A ty, Maryś, na kobiercu
Rzeknij: czy masz Jana w sercu?
Czy ci on miły —
Aż do mogiły?“

Grają organy...
Że drży kopuła!
Szepnęła Maryś...
Związała stuła...
A dobrodziej z obrączkami:
„Przez ten żywot, co przed wami,
Idźcie w spokoju,
W uczciwym znoju!“

Grają organy...
Ze drzy kopuła!
Już ich w kajdanki
Miłość zakuła!
Organista-kalwakator
Zadał w miechy na „Kreator!“ —
Drużki zerkają,
Oskomę mają!

Grają organy...
Grają przeczyście!
Aż się łysina
Łśni organiście!
Stawia Maryś drobne nóżki,
Upatruje starszej drużki —
Na nią spojrziała,
By się wydała!

Grają organy...
Grają przeczyście!
Już i nie staje
Tehu organiście!
Już i w lampkach knot się skwarzy!
Gasną światła u ołtarzy —
Już po obrządku...
Chwała Dzieciątku!

K. Laskowski.



Stanisław Konarski.

W 200-tną rocznicę urodzin.

Dnia 30 września rb. upłynęło dwieście lat od chwili, gdy ujrzał światło dzienne jeden z najznakomitszych mężów polskich — Stanisław Konarski.

Wież Zarzycze w województwie sandomierskiem była mu gniazdem rodzinnem, w którym pierwszą swą młodość przepędził. Z tej epoki jego życia mało pozostało śladów. Wiemy tylko, że uczęszczał do szkół pijarskich w Piotrkowie, wstąpiwszy tam w dniu 27 sierpnia 1715 r. Po dwóch latach został klerykiem, a licząc lat 21 wykładał już gramatykę łacińską i retorykę nowicyuszom.

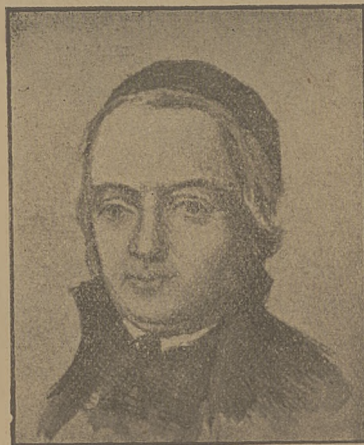
Na stanowisku tem musiał położyć zasługi, gdyż wkrótce mianowany został nauczycielem poetyki w konwikcie pijarskim. Wtedy Konarski znalazł się w szczególniejszych dla swego dalszego rozwoju umysłowego warunkach, gdyż mógł, korzystając ze zbiorów bibliotek konwiktu — poznać dokładnie literaturę klasyczną, o czem zdawna marzył. Niebawem młody sługa Boży dał się poznać na niwie literackiej, ogłaszając szereg utworów treści religijnej, z których oda na cześć Najświętszej Maryi Panny wyróżnia się wybitnymi zaletami. Nie wystarczało to jednak szlachetnie ambitnemu księdzu, który marząc o szerszych widnokęgach działalności, pragnął się dalej kształcić. Marzenia jego urzeczywistniły się, dzięki zarządzającemu ówczesną prowincją polską Pijarów, księdzu Slegielskiemu, który wysłał go do kolegium Nazareńskiego w Rzymie i wujowi Tarle, który dostarczył mu odpowiedniego funduszu na podróż i utrzymanie. Konarski, pomimo, że już oddawał się praktyce nauczycielskiej, bez wahania zajął miejsce na ławie szkolnej, dopełniając wykształcenia swego w dziedzinie literatury, filozofii, teologii i historii.

Nauczając przez dwa lata w kolegium, porównywał system wykształcenia, tam

praktykowany, ze stanem rzeczy w krajowych szkołach pijarskich i myślał o ich zreformowaniu. Po czteroletnim pobycie w Rzymie, podróżował po krajach sąsiednich i szczegółowo badał urządzenie słynnego podówczas „Collège de Plessis.“

Konarski powrócił do Warszawy w r. 1731 i oddał się pracy nad obmyśleniem środków, mających na celu udoskonalenie konwiktów pijarskich. Przedstawił nawet szczegółowo opracowany plan reformy zarządzającemu konwiktem pijarskim, lecz projekt jego nie mógł być uwzględniony, dla braku funduszy.

Dalej zajął się Konarski wydaniem zbioru praw obowiązujących. Pierwszy tom ukazał się we wrześniu 1732 r. Tom ten z dedykacją dla króla Augusta II, zawiera rozprawę, skreśloną w języku ła-



Stanisław Konarski.

cińskim przez Konarskiego, a zawierającą trafny pogląd na rozwój prawa polskiego. Gdzie Konarski przebywał w 1732 i 1733 r., dokładnie niewiadomo. Mieszkał zapewne w Warszawie, zajmując się pisaniem broszur treści politycznej, z których kilka wyszło w Lipsku.

Oddany całej myśli o jak najowocniejszej służbie krajowi, odmówił wielce zaszczytnej propozycji objęcia biskupstwa w ziemiach pogańskich *in partibus infidelium*.

W r. 1736 widzimy Konarskiego w Krakowie, jako profesora nauk politycznych i języków obcych. W 1738 r. został pierwszym asystentem kapituły chełmskiej. W 1740 roku obejmuje obowiązki rektora przy kolegium warszawskiem, a jednocześnie zajmuje się urzeczywistnieniem swej idei organizacji konwiktów pijarskich i wydawnictwem opracowanych przez siebie podręczników.

W r. 1744 urządził Konarski teatr dla młodzieży, dokąd nader licznie uczęszczano. Sam napisał sztukę oryginalną p. t. „Epaminondas“, którą odegrano w r. 1756.

W r. 1745 Konarski ciężko zapadł na zdrowiu, a po wyzdrowieniu wysłany został przez lekarzy dla ostatecznego leczenia się za granicę.

Po powrocie oddawał się w dalszym ciągu pracy w owoce bogatej, zaszczytnej, wielkiem umiłowaniu swego narodu kierowanej. Przeżywszy zacień a pożytecznie lat 73, w zgromadzeniu Pijarów przetrwawszy 58 lat, zmarł dnia 3 sierpnia 1773 roku.

Trudno w artykule dziennikarskim scharakteryzować tę wielką postać, lub dać choćby przybliżone pojęcie o rozmiarach tej pracy duchowej, jakiej Stanisław Konarski dokonał.

Niech o nim świadczy żal powszechny, jaki ogarnął wszystkich na wieść o śmierci tak wielkiego męża, niech świadczy pamięć potomnych, którzy po upływie dwóch wieków oddają mu hołd należny.

Wszystkich, którzyby pragnęli uprzytomnić sobie dokładniej działalność Konarskiego, odsyłamy do dzieł specjalnych jemu poświęconych; dzisiejszą notatkę zamykamy przytoczeniem końcowego ustępu z pracy Bronisława Chlebowskiego, który pisze:

„Społeczeństwo ówczesne rozkoszowało się dowcipem i wdziękiem pióra Krasickiego, cenilo rozum, jędrny humor i pracę poważną Naruszewicza, oddawało należne uznanie różnorodnym zasługom Bohomolca, podziwiała nieznaną dotąd u nas doskonałość artystyczną utworów Trembeckiego, swawolną werwę Węgierskiego, jednemu tylko Konarskiemu okazywało cześć, należną powadze i podniosłości charakteru, niezłomności wytrwałej woli, jasności i trzeźwości umysłu śmiałego i rozważnego zarazem.

Współcześni pod wpływem pojęć wieku oświeconego cenili w Konarskim przede wszystkim reformatora życia umysłowego, „polskiego Descartes'a“, jak go nazywa ks. Michał Krajewski w swej „Pochwale“ (1784 roku). My uzupełnić musimy ten sąd i utrwalić fundamenta, na których spoczywa wielkość Konarskiego, wysunięciem na pierwszy plan jego zalet moralnych. Gdybyśmy stawiali pomnik na cześć wielkiego reformatora, napisalibyśmy zapewne na nim: „*Sapere et agere auro.*“

Oby przez długie jeszcze wieki drogowskazem w działalności naszej była pamięć o takich, jak Konarski, mężach, których posiadamy przecież szereg niemały...
R. J.



Wiktor Gomulicki.

Urodzony w Ostrołęce, w r. 1851, uczył się nasamprzód w Pułtuskach, poczem ukończywszy gimnazjum w Warszawie, studjował na uniwersytecie tamtejszym prawo i administrację, aby następnie oddać się całkowicie pracy literackiej i publicystycznej. Poezye, nowele, artykuły z dziedziny estetyki i t. d. umieszcza prawie we wszystkich znaczniejszych pismach warszawskich.

Pierwsze jego wiersze pojawiły się już w roku 1870 (w Przeglądzie tygodniowym „Intermezzo“ etc.) Zebrane zaś w osobnym tomiku wyszły dopiero w roku 1882, stanowiąc II tom wydanej w Warszawie „Liry polskiej.“ W roku 1887 ukazał się nowy tom, do którego autor przyjął także niektóre poezye z „Liry“, a w r. 1896 wyszedł z druku okazały zbiór „Nowych pieśni.“ Ponadto pojawiły się z pism prozą „Obrazki prawdziwe“, „Przy słońcu i przy gazie“, „Róże i osty“, „Obrazki weneckie“, utwór sceniczny „Skrytka“ etc. Najnowsze wydanie wierszy Gomulickiego wyszło w roku bieżącym z portretem autora p. t. „Wybór wierszy“ nakładem księgarni Teodora Paprockiego i Spółki w Warszawie.

Gomulicki w początkowych utworach swoich, odznaczających się wielką ma-

lowniczością, opiewa zwykle uczucie miłości, ze strony raczej marzycielskiej pojęte, a także staje w obronie ludzi biednych, wydziedziczonych i pogardzonych, kreśląc przytem niektóre typy, wzięte z zaułków miasta. Gomulicki umie obok tego doskonale odtwarzać w swych utworach typy miejskie z odległej przeszłości. W późniejszych wierszach jego widać bardziej refleksyę, która uwydatnia się w pełnych smutku skargach, czasem zaprawionych ironią i świadczących o pesymistycznym nastroju ducha poety, dla którego życie nie posiada żadnego uroku. Nad formą Gomulicki panuje całkowicie, język ma wyrobiony i piękny.

Nowele, powiastki, obrazki Gomulickiego odznaczają się wielkim wdziękiem i świadczą o niemałym zmysle spostrzegawczym autora, malującego zwykle niższe warstwy społeczne.

Gomulicki mieszka stale w Warszawie.
P.



W Katedrze.

Pod gotyckimi żebrami sklepienia
Siedzisz, jak Jonasz w łonie wielkiej ryby;
I tylko echo ulicznego wrzenia
I brzęk trącanej ptasiem skrzydłem szyby
Mówią ci jeszcze o męce istnienia.

Zresztą tak cicho i nieba tak blisko,
Że się już duchem wydajesz sam sobie...
O zbawczy porcie! o święte schronisko
Dla dusz zmęczonych i dla dusz w żalobie,
W przejściu pomiędzy trumną a kołyską!

Tu sen i spokój — a o kroków kilka
Życie powszednie huczy mętłą falą;
I samolubstwo błyska kłami wilka,
Rozszarpywane jagnięta się żalą
I krwią a potem cieknie każda chwilka..

Tys uszedł z pola — i w cichej przystani
Liczysz, coś stracił i co ci zostało;
A skrzydła w ognjach ztłone otchlani
Znękaną duszę i zemdłone ciało
Temu, co-c dał je, składasz znowu w dani.

O! jak ci droga ta cisza kościelna,
Niebiańskiej ciszy darząca przedsmakiem!
O jak drży w tobie powłoka śmiertelna,
Co jest jak klatka rozemkniona z ptakiem,
Lub jak w wiosenny dzień komórka
[pszczelna!

Więc błogostawisz dłoniom, co pokładły
Korabie ciche na morzu żywota —
Bo choć huragan szturmując zajadły
I jak lupiną istnieniem twem miota,
Tu-s jest bezpieczny i w błogość zapadły.

— Błogostawieni — szepcesz — co zakleli
W kamień i drzewo swe myśli najświętsze;
Błogostawione słońce, które biel
I zdobi tęczą ołtarzowe wnętrze;
Błogostawieni święci i anieli.

Błogostawieństwo i wam, o kolumny,
Strzelistą linią biegnące do szczytów;
I wam posągi, których orszak tłumny
Błyska, jak główki anielskie z błękitów;
I wam w podziemiach butwiejące trumny!..



Wiktor Gomulicki.

A gdy już burza w twym sercu zadrzemie,
Modlisz się Bogu słowy dziękczynnemi
Za to, że zdjęte z losu twego brzemie —
Bo gdybyś ciszy nie znalazł na ziemi,
Możebyś szukać jej poszedł — pod ziemię.
Wiktor Gomulicki.



Z ojczystych stron.

XXXI.

Poniec.

„Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi,
„Otrząście grubą pleśń!..“

Poniec należy bezwątpienia do najstarszych miejscowości Księstwa, z starych dokumentów bowiem wykazuje się, że już w 12 stuleciu był miastem dosyć znacznym. Ale i dawniej jeszcze musiał być rozległą osadą — dowodem tego odwieczne mury, których szczątki znajdują się tu i owdzie w bliskości miasteczka. W znacznej dosyć głębokości ziemi znaleziono resztki kanalizacyi, a ponieważ kroniki nie o tem nie wspominają, przeto można przypuszczać, że już przed dwunastym wiekiem była ta miejscowość zamieszkałą przez znaczną liczbę ludzi, jeżeli nawet kanalizacya była zaprowadzona.

Kiedy Poniec został miastem, tego nie wiadomo, tak samo nikt nie wie, kiedy wogóle został założonym — najpewniej jednak już w czasach pogańskich. Niedaleko Ponieca, nad drogą, wiodącą do Rydzyny, znajduje się cmentarzysko pogańskie, gdzie wykopano rozmaite urny, łzawnice i t. p. Tuż obok cmentarzyska jest ołtarz ofiarny, składający się z kamieni, a mający 7 metr. kw. obszaru i wysokości pół metra.

Jak podanie niesie, miało Smielowo dawniej należeć do Ponieca i być z nim połączone, co wcale nie jest nieprawdopodobnym, jeżeli się zważy, że resztki

starych murów właśnie w tym znajdują się kierunku. Ale było to w czasach przedhistorycznych, ponieważ Smielowo w 12 wieku już było wsią, którą w r. 1366 kupiło miasto Poniec. Kupno to potwierdził Wierzbęta z Kościana, kasztelan poznański, w imieniu Kazimierza Wielkiego.

Pierwszym właścicielem Ponieca był hrabia Dyszko, który właśnie kupił Smielowo. Kiedy więc ta została założoną — nie wiadomo. Miasto rozwijało się w 15 i 16 wieku bardzo pomyślnie i musiało być wielkiem i bogatym, miało bowiem przywileje, o które inne większe wówczas miasta daremnie się starały. W roku 1601 pozwolił Zygmunt III ustanowić w Poniecu cło mostowe i brukowe i to od 2 koni i 2 sztuk bydła $\frac{1}{2}$ grosza. W połowie 16 wieku sprowadziło się tu dużo „czeskich braci“, których przyjął gościnnie ówczesny właściciel Ponieca, Rydzyński, i pozwolił im wybudować własny kościół. Był to pierwszy murowany budynek w mieście.

W r. 1606 wybuchła dżuma w Poniecu i mnóstwo zabrała ofiar. Czescy bracia uciekli z miasta, osiedlili się bliżej granicy śląskiej, i nigdy już tu nie powrócili. Opuszczony ich kościół zajęli katolicy, a kościół ten stoi do dziś jeszcze. W r. 1616 należał Poniec do Jana Miaskowskiego, któremu obywatele raz na zawsze musieli dostarczać na żądanie wozów i koni. Następca jego Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński, pozwolił mieszczanom warzyć piwo. Później przeszło miasto na własność rodziny Unruhów, a Zygmunt Unruh, starosta gnieźnieński, nadał miastu przywilej stawiania browarów.

Na początku 18 stulecia dały się Poniecowi, tak jak i innym miastom, wojny szwedzkie we znaki. Pomimo, że król Stanisław Leszczyński zabezpieczył listem królewskim dobra Zygmunta Unruha (Poniec i wsie Miechein, Janiszewo, Smielowo i Karczec) i żądał, aby Szwedzi uważali i szanowali wsie te, jako należące do króla, to jednak Poniec ucierpiał niezmiernie przez wojska przechodzące z Saksonii do Warszawy. Najgorsze były czasy od r. 1704—1706. W pobliżu Ponieca stoczono bitwę, w której Karol XII. pobił na głowę Sasów.

Dobrobyt obywateli upadał teraz coraz to więcej, bo właściciel miasta Maksymilian Mielżyński z Pawłowic, Wielki Pisarz Koronny, chcąc ulżyć miastu w placeniu długów, wydał przepis, na mocy którego każdy obywatel, który zapłacił do kasy miejskiej 300 złp. miał prawo dla siebie i żony warzenia i sprzedawania piwa. Nic to naturalnie nie pomogło, miasto musiało w r. 1786 zaciągnąć nową pożyczkę w ilości 1000 złotych guldenów i zapisać je na domach miejskich. Gdy Poniec dostał się przy drugim podziale Polski w ręce Prusaków, liczył 1436 mieszkańców.

Podczas wojen francuzkich znowu się w mieście źle działo. Rosyanie przebywali tu całymi tygodniami i palili, rabowali i zabierali co mogli.

W dawniejszych czasach kwitło tu rzemiosło w całym znaczeniu tego słowa, a każde rzemiosło miało swój cech osobny. Do najstarszych towarzystw jednak należy bractwo strzeleckie, założone, o ile się zdaje, za panowania Jana Kazimierza.

Celem tego bractwa było, aby się obywatele ćwiczyli w strzelaniu i aby przestrzegali w swem towarzystwie dobrych obyczajów.

Aż do końca XVI wieku były tu dwa kościoły katolickie, tj. kościół św. Trójcy czyli Fara i kościół św. Barbary. Pierwszy stał na końcu ulicy wiodącej do Bojanowa, drugi tam, gdzie dziś stoi szkoła. W Waszkowie wybudował Bartłomiej Zawadzki w r. 1606 kościół luterański.

W r. 1841 urządzono w Poniecu pocztę, łączącą miasto z Lesznem, Rydzyną, Krobą, Kobylinem i Krotoszynem. Pierwszy dom murowany stanął tu w r. 1827; ratusz zaś wybudowano dopiero w r. 1842. Aż do roku 1887 należał Poniec do powiatu krobkiego, teraz należy do gostyńskiego. Od r. 1888 przechodzi tutaj kolej żelazna, wiodąca z Leszna do Ostrowa.

O „dawnych, dobrych czasach“ istnieją liczne jeszcze opowiadania, z których jedno przytoczymy na zakończenie.

Otóż gdy razu pewnego siedziało

pojęcie o wartości, użyteczności i przeznaczeniu pieniędzy. Kazano im odpowiadać na pytanie: „Gdyby wam dawano po 50 centów miesięcznie, na co byście obrócili te pieniądze?“ Z odpowiedzi okazało się, że skłonność do oszczędności z wiekiem miarowo wzrasta; że jest zawsze z początku silniejszą u chłopców niż u dziewcząt i dopiero później się równoważy; że wreszcie cel oszczędności bywa rozmaity, często zależny od płci i wieku. W Massachusetts na 922 badanych chłopców i 1090 dziewcząt, chciało oszczędzać: na odzież — 9 procent chłopców i 11 procent dziewcząt; 3 procent dzieci płci obojga na kupienie przedmiotów codziennego użytku (sprzętów domowych, opału, żywności itp.); na zabawki — 14 pr. chłopców, 9 dziewcząt (skłonność tę najwyraźniej zau-

nych nie przedstawiała pola do wyciągnięcia ogólniejszych i poważniejszych wniosków, mimo to plon odpowiedzi jest wcale ciekawy. Zaledwie 15 procent zapytywanych w dzieciństwie „nie pragnęło wcale pieniędzy“, 45 procent pragnęło gorąco je posiadać“, a 82 proc. marzyło o „bogactwach w przyszłości.“ Co do celów filantropijnych, to porównując odpowiedzi dzieci z badaniami studentów widzimy, że pierwsze często dają pieniądze bądź pod naciskiem rodziców, bądź pod wrażeniem chwili, i niebawem żałują ofiary. „Słuchając opowiadań misjonarzy — odparł jeden ze studentów — czułem się niezmiernie wzruszonym i gotów byłem na razie oddać na misję cały posiadany fundusz; wszakże ochłonawszy, tłumaczyłem sobie, że wszystko dla mnie jedno, czy pogacie zostaną nawróceni, czy nie.“

Odpowiedzi studentów w wielu razach komentują odpowiedzi dzieci. Na przykład: 22 z pomiędzy pierwszych oszczędza wskutek zachęty rodziców, którzy do każdej oszczędzonej kwoty dodawali im drugie tyle; 13 proc. składało grosz na cel z góry upatrzony; większość nie zadawała sobie trudu oszczędzania. Tu trzeba dodać, że w wychowaniu amerykańskim i rodzina i szkoła starają się zaszcześcić w dzieciach skłonność oszczędności, może zatem dzieci badane w szkole — na co zamierzają obrócić posiadane pieniądze? dla przypodobania się nauczycielom, głosują za oszczędnością. Ci z badanych studentów, którzy już w dzieciństwie zarabiali pieniądze, stanowili większość: 59 procent; procent dzieci zarabiających był jeszcze większy: 74 chłopców i 69 dziewcząt, z czego jednak nie można wnioskować o skłonności dzieci, lecz prędzej o zasobności i wymaganiach rodziców. Szkoda, że amerykańscy badacze nie wypytywali dzieci zarobkujące: na co obracają pieniądze zarobione, oraz dzieci rozporządzające pieniędzmi otrzymanymi w podarunku, jak tę darowiznę spożytkowują. Zestawienie odpowiedzi dałoby ciekawe wyniki

Oczywiście, że pragnąc ze streszczonych badań psychiczno-statystycznych wyciągnąć wnioski pozytywne, trzeba by je zaopatrzyć w wiele komentarzy; wtedy wiele szczegółów ciemnych stałoby się zrozumiałymi. Trzeba by zatem znać sferę, do której dziecko należy, jego tryb życia, zwyczaje i stosunki, panujące w miejscowości przez nie zamieszkałej. Okoliczność, że pomiędzy badanymi dziećmi znalazł się znacznie wyższy procent oszczędnych niż pomiędzy studentami, prawdopodobnie wyjaśniłaby się tem, że ostatni może należeli do sfery zamożniejszej.

Widzieliśmy dalej, że badania wyka-



Poniec.

w gospodzie grono obywateli przy szkanecie piwa, zauważył jeden z nich, że za każdym nowym dzbankiem, jaki gospodarz przynosi, staje się piwo gorsze. Sasiad, któremu to powiedział, nie chciał uwierzyć i wtedy użył niezadowolony obywatel na stwierdzenie swego podejrzenia następującego podstęp: poszedł z niedowierzającym sąsiadem do studni i wrzucił w nią kilka garści szezki, poczem obydwaj wrócili na dawne miejsca. Po upływie pół godziny, gdy gospodarz przyniósł nowy dzban piwa, okazało się, że obywatel miał słusność — na wierzchu bowiem pływało kilkanaście kawałków szezki. Zawołano gospodarza i żądano wyjaśnienia tej sprawy. Gospodarz zarzekał się, że nie ma pojęcia, zkad szezka dostała się do piwa, a gdy się prawda wydała, wymierzili sobie rozgniewani obywatele sami sprawiedliwość. Z tem wszystkim chodzili wszyscy teraz do owego gospodarza, byli bowiem pewni, że u niego będzie odtąd najlepsze piwo. I tak też było — nauczony smutnem doświadczeniem, nie dolewał nigdy już do piwa ani kropli wody.

Kronikarz „Pracy.“



Nauka i wychowanie.

Pojęcie młodego pokolenia o oszczędności.

Praktyczni Amerykanie poczynili w ostatnim czasie wiele spostrzeżeń w zakresie wychowania domowego i szkolnego. Tak na przykład, w Massachusetts i Kalifornii badano dzieci płci obojga, od 7 do 16 lat wieku, o to: jakie mają

ważono pomiędzy latami 10—a 14); na podarunki dla krewnych i przyjaciół — 4 pr. chłopców, 7 dziewcząt; na książki i dzieła sztuki — 3 pr. chłopców, 7 dziewcząt; na cele dobroczynne 2 pr. chłopców, 3 i 1/2 pr. dziewcząt. W trzech ostatnich pozycjach widzimy przewagę dziewcząt, a to dowodzi większych skłonności humanitarnych i estetycznych; na wyrobienie tych skłonności wpływa wychowanie początkowe, które u chłopców rozwija bardziej egoistyczne popędy, u dziewcząt zaś przeciwnie.

Ponieważ kwota 50 centów jest dla starszych dzieci zbyt drobna, nie pozwala im rozwinąć planów finansowych, przeto zapytywano stu dziewcząt i tyluż chłopców jedenastoletnich: „Na co by obrócili pieniądze, gdyby otrzymywali po tysiąc dolarów rocznie?“ Tym razem znacznie większy procent zapytywanych, obojga płci, głosował za oszczędnością. Dążności humanitarne przejawiają się po 13-tym roku życia; zdaniem pedagogów amerykańskich, na ich rozwinięcie wpływają stosunki szkolne.

Z kolei poddano badaniu 102 dojrzałych studentów, uczęszczających na kursa psychologiczne; tych zapytywano: „Czy w dzieciństwie pragnęli mieć pieniądze? Czy je mieli i w jaki sposób je otrzymywali? Czy je oszczędzali? Jak i gdzie przechowywali? Czy przywiązywali jakie przesady do nich? Czy pragnęli zostać bogaczami? Czy kolekcjonowali monety?“ Jakkolwiek liczba bada-

zały większą oszczędność po stronie chłopów, ale i tu zachodzą pewne wahania, mianowicie: oszczędność u chłopów kalifornijskich po 12 roku słabnie, u dziewcząt zaś się zwiększa; w Massachusetts zaś przewaga zawsze zostaje po stronie chłopów, chociaż z wiekiem skłonność oszczędzania u obojga płci się wzmacnia. Otóż wahania te zapewne powstają wskutek różnych wpływów wychowawczych i postronnych.

Jakkolwiekby, badania amerykańskie nie pozostaną bez plonu, a dla wychowawców europejskich powinny być dobrym przykładem. Przedewszystkiem dają one możność wnikięcia w naturę dziecka, poznania jej, bez czego mądre kierownictwo wychowawcze obejść się żadną miarą nie może. Poznawszy taką drogą pozornego badania pojęcia dziecka o pieniądzu, o jego wartości, można w młodym umyśle nierównie skuteczniej zaszczepiać zdrowe pojęcia ekonomiczne a spaczone prostować, niż zadając dzieciom ćwiczenia na temat oszczędności, albo każąc im czytać traktaty w tej mierze, bodajby najpiękniej pisane. Tylko drogą badań na sposób amerykański mogliśmy sprawdzić, czy nasze dzieci posiadają skłonność do oszczędzania; czy skłonność ta z wiekiem wzrasta; czy chłopcy mają przewagę nad dziewczętami w tej mierze i t. p., a uzyskawszy dane poważne, stosownie z dziećmi postępować. „Narody nie umiejące pracować i oszczędzać, zniknąć muszą z po-

już od kolebki. Bo i oszczędność, acz może być do pewnego stopnia skłonnością wrodzoną, można wszakże bądź spaczyć, bądź przez nieopatrzne wychowanie skazać na zamarcie, jak z drugiej strony można ją zaszczepić i rozwinąć. Skłonność ta nam więcej niż innym społeczeństwom jest potrzebną, wobec skromnych zasobów a dużych, bardzo dużych potrzeb.

T. A.



Dział kobiecy.

Dziewica—panna na wydaniu.



Od dziecięctwa do wieku dziewczęcego, jeden krok w życiu kobiety. Dla dziewczątek, jak dla owych roślin majowych, każda

godzina jest dniem, każdy dzień, miesiącem, tak szybko rozwijają się te roślinki duchowo. Natura nie postępuje tu

krokiem powolnym, stopniowym: przez jedną noc, roślina, za ledwo strzelająca w pączki wczoraj, nazajutrz stroi się w koronę, liście i kwiecie; — dziewczeczka, w oczach naszych, przez jedną, że tak powiem, wiosnę, staje się dziewczycą, a dziewczycą, panną na wydaniu.

Gdzież są rodzice, w których sercu nie podniosłyby się naraz uczucia podziwu, dumy rodzicielskiej i obawy, na widok tej metamorfozy, która z każdym dniem przetwarza ich córkę w coraz nową istotę; dziecinne jej, tak niedawno jeszcze pieczyoty, przeistacza w pełną poszanowania czułość, i przejmuje ich obawą, nasuwając myśl o rychłej rozłące z ukochanym ich dziećciem, a rozłąka ta zbliża się prądem strzały, i oto już stanęła przed nimi...

Prawo naznacza wiek *panny na wydaniu* w latach 15-tu, zwyczaj zaś w 17-tu, lub 18-tu; lecz jak prawo tak i zwyczaj, według nas, śpieszą się tu zanadto.

Zwróciwszy się w daleką przeszłość, wszędzie napotykamy ten sam rażący nas, aczkolwiek tłumaczący się miejscowymi warunkami, pospiech. Prawodawca indyjski, Manu, wydaje dziewczycę za mąż w 8-ym roku życia. Numa, cesarz rzymski, w 12-ym. Likurg zakres ten posuwa do lat 20.

Rzućmy zasłonę na te dalekie od nas czasy, a zastanówmy się raczej nad naszymi, w tym względzie, zwyczajami. Ilekroć mamy szesnastoletnich mężatek!

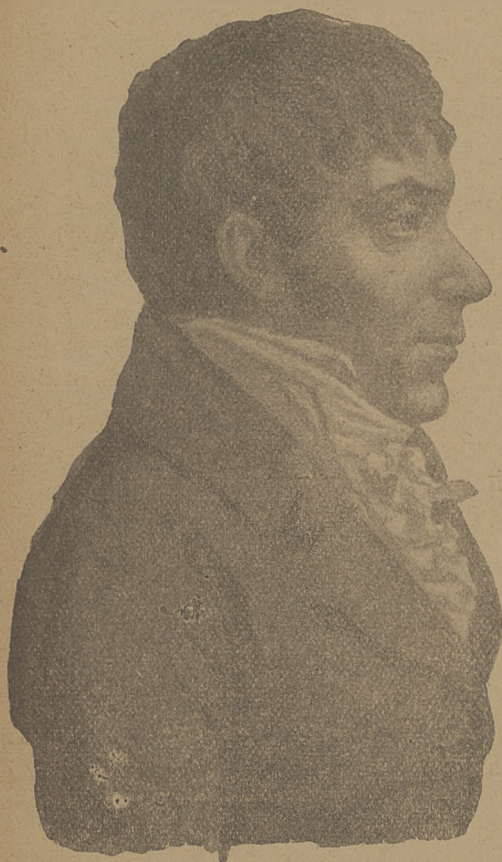
Lecz zapytajmy siebie, kogo poślubia szesnastoletnie dziewczę, czy przyszłego swego męża?... Wcale nie: dzięki naszym zwyczajom, ona go nie zna prawie; dzięki zaś swemu wiekowi, nie może go poznać. Zaślubia ona oblicze, jeśli narzeczony jej jest piękny; bogactwo, jeśli bogaty; suknię, jeśli strojny; co zaś do niego samego, do istoty jego moralnej, do niego, pracownika i myśliciela, wątpimy wcale, iżby go znała pod wszystkimi temi względami, gdyż szesnastoletnie dziecię, ani pomyślało zajrzeć w głąb serca, w głąb życia tego człowieka; poślubia ona, jak powiedziałby matematyk, owo zagadkowe *x*.

Niedola ta dwójakie ma źródło. Najprzód próżność wielu rodziców, którzy widzą zaspokojenie swej dumy we wczesnym wydaniu córki swej za mąż, i na tej drodze tworzy się rodzaj zapasów między kilku rodzinami; następnie, rodzaj miłości własnej mężczyzn, którzy zawyrokowali, iż małżonek powinien być zawsze starszy przynajmniej o lat 10 od swej małżonki, i że dziewczycą, licząc lat 24, ba nawet 22, utraciła już prawo na młodego męża.

Nie wiemy, jak daleko błądzimy, lecz zdaje się nam, iż w grubym pozostajemy omamieniu, co do zapatrywania się na stosunkowe nachylenie się naszego wieku i kobiet. Jesteśmy zanadto względem płci pięknej srodzy, lecz zato, zanadto okazujemy się względnymi dla nas. Uważając się za prawodawców w tych nawet rzeczach, które są za obrębem wszelkiego prawa, z niedostatków dojrzałego naszego wieku, robimy zalety. Zaokrągloną tuszę nazywamy postawą szlachetną; zmarszczki nadają charakterystyczny wyraz czołu i ustom; łysina uwydatnia czoło, odsłaniając je więcej; w końcu siwe włosy są u nas oznaką głębokich myśli; a tak uprawniając, starzenie się nasze, w samem jego orzeczeniu, o róży która przekwita, powiadamy, iż *wiednie*, o usychającym zaś dębem, iż *stroi się w koronę*.

Czyż natura uświęca ten nasz wyrok? Czyż ona to wdziękom kobiety tak krótki kres naznaczyła, iż schyłek lat jej poczyna się o 10 lat wcześniej, jak w życiu mężczyzny? My tak nie sądzimy.

W istocie, jeśli ta czarująca barwa oblicza kobiet gaśnie wraz z ich wiosną, ileż to innych powabów zjawia się natomiast! Kibić kobiety uwydatnia się i w całym swym wdzięku rozwija, dopiero w 22 roku; ręce jej nigdy nie są tak śnieżnobiałe, jak w 25 roku jej życia; szyja w tej dobie wznosi się najwdzięczniej, ramiona zaokrąglają się, słowem, wszystkie kształty jej ciała tworzą harmonią owych poruszeń wdzięcznych i gibkich, które nie są wcale udziałem pierwszych lat młodości. Rzeźbiarze starożytni, owi pojętni wielbiciele pięk-



Cypryan Godebski.

wierzchni ziemi“ — powiedział znakomity Sogey — prawda to niezbita, a skoro tak jest uczmyż dziatwę, ową przyszłość naszą, rozumnej oszczędności

ności, przedziwnie umieli odcieniować ten postęp natury. Przepyszna Wenus neapolitańska, ów typ młodzieńczej dziewczewicy, Diana z sarną, starsza jej siostra i Wenus z Milo, ich władczynie, odtwarzają nam, w doskonałych typach, te trzy doby postępowe piękności niewieściej. Czyż nie w 25-ciu latach, i jedynie w tej dobie, wykwita nowy i już trwalszy powab oblicza kobiety, wyraz duchowy? Czyż nie wtedy to wewnętrzny blask pojętności i ducha świeci w jej oku? Nie wtedyż to dowcip i subtelność umysłu maluje się na jej twarzy? A dusza nadewszystko, ta dusza pełna poświęcenia i czułości, rozlewając się na ustach, połyskując w uśmiechu, w łzach jej, jawi nam kobietę w całym tym przepychu, jakim ją ozdobił Bóg w chwili jej stworzenia? W końcu, i w tem właśnie najwyższa zaleta kobiety, w 25-tym roku dopiero posiada ona całe bogactwo uczuć i rozsądku. Gdyby więc prawdą nawet było, iż smutne prawo natury każe jej być razem młodą i zwiędłą, iż wewnętrzne jej piękno dosięga swego przekwitania wraz ze schyłkiem fizycznej jej wiosny, jak owa woń kwiatu, która ulatnia się z nawpół przekwitłego kielicha, kobieta młoda myślą i sercem, i wtedy nawet ma, zdaniem naszym, prawo, w imię tego serca i tej myśli, na towarzysza równie jak ona młodego. Widzieliśmy, iż prawo to jej opiera się na innych jeszcze warunkach, a tak dziewczewica, zwlekająca wyjście za mąż do 22 lat, nie traci wcale prawa na młodego małżonka.

Lecz tu nasuwa się rzeczywista trudność. Jak upłyną młodej dziewczewicy, bez miłości, te 4 lata, najromantyczniejsze w jej życiu, ta epoka od 18 do 22 lat? Jak przejściową tę epokę zapełnią rodzice?

Niebezpieczeństwo istotne i wielkie; lecz sposoby do zapobieżenia mu, liczne. Zbadajmy więc i to niebezpieczeństwo i ochraniające odeń środki.

Rodzice nie mogą się ludzić, żądza miłości czyha na ich dziecię, silna i groźna. Córka ich nie jest już tem, czem była wczoraj; lada czyn poświęcenia, lada rozczulająca opowieść wywołuje obfite łzy z jej oczu; szczęście jej w marzeniu: gdzieś środki do wzbronienia temu sercu poruszać się, uczynić wybór i zawieść się najsmutniej? W tym wieku, podobni do małych dziatki, które w niekształtnem bawidełku podziwiają to wszystko, co stworzyła sobie uśmiechnięta ich wyobraźnia, nosimy w sobie ideał miłości, tak żywy, iż gotowiliśmy go przenieść na pierwszą istotę, na którą padnie ślepe spółczucie. W 18-tu latach jesteśmy wszyscy Pigmalionami: uwielbiamy nasze dzieło. Oto źródło tylu gorzkich wyrzutów, gdy złudzenie pierz-

chnie. Zarzucamy posagowi, iż jest zimny: on był takim zawsze, serce to nasze było płonącym; tłuczemy go, gdyż jest z marmuru; on takim samym był wczoraj, ręka to nasza była pełna życia. I oto dusza nasza, uleczona, lecz odczarowana, pozostawiając cząstkę siebie w lekach, utraciła na zawsze najwyższą rozkosz czułości, wiarę w swą nieśmiertelność

Wobec takiego niebezpieczeństwa rozsądna matka nie waha się. Zamiast usuwania z biesiad jej z córką wzmianki o miłości, jak gdyby ona nie istniała wcale, lub też anatomizowania jej, jak ducha zła, maluje ją przed nią w istotnych jej barwach, to jest jako przyrodzonego gościa dusz wzniosłych, twórczynię wszystkiego, co jest najszlachetniejszym na ziemi! Młode serca mniej nierównie tracą, w zetknięciu się z istotną nawet namiętnością, jak w rozmarzaniu się tem wszystkim, co jest do niej podobnem. Gdy więc młoda osoba przekona się, iż nie jest więcej znikomem w niebiańskim tem uczuciu, jak owe mary eteryczne, które zuchwale przywłaszczają jego imię; gdy nauczy się w niem widzieć jeden z tych rzadkich skarbów, które zdobywają się na ciernistej drodze zwycięstwa, a przechowują istotną zasługą, gdy uwierzy, iż serce, które chce się uznać godnym jego przyjęcia w siebie, powinno się omyć z pyłów ziemskich, jak sanctuarium, i urosnąć na świątynię, wtedy, zawierzcie, wzniosły ten ideał, wyryty na jej sercu, wzbudzi w nich wstręt samą swą pięknnością, ku wszystkim tym przywiązaniom, które go obrażają i koszlwią: nie ubóstwiamy bałwanów, skoro poznamy Boga.

Lecz to jeszcze nie wszystko: matka, by zadość uczynić potrzebie czułości, jaką w córce swej spostrzeża, może przywołać na pomoc jedno z najpiękniejszych praw ludzkości. Nie zawsze znajdujemy w sobie dość sił do zapanowania nad naszymi namiętnościami, lecz zawsze możemy nimi sterować: są one w sercach naszych, jak bijące źródło, które kipi, burzy się i wylewa, lecz ręka nasza zdolna jest odwrócić je i kierować jego biegiem według naszej woli; innemi słowy, jedna i tażsama namiętność może zarówno prawie zadowolić się dwoma różnymi przedmiotami, i zło czy dobro zależy od przedmiotu namiętności, jak od niej samej. Ten sam wulkan uczuciowości, co pociągnął był św. Augustyna w najzmysłowszy odmet, podniósł go do najwznioślejszych popędów ludzkości; św. Teresa jest niczem innem, jak Heloizą patrzącą w niebo. Tak więc, nie przerażajcie się, matki rozsądne, tą potrzebą czułości, co porusza serca waszych córek, i nie straszcie się wiecznie kochankiem, jako nieuniknionym jej wynikiem; one chcą kochać, chcą być kochanemi; a więc

otwórzcie im obszerny gościniec miłosierdzia! Niech dobroczynność, zamiast przynosić zadowolenie sercu ich prawie egoistycznemu, jako jałmużna, którą rzucają mimochodem, stanie się ich bytem i wcieli się w powszedni zwyczaj ich życia, jak modlitwa, jak praca, jak zajęcie, się własną ich osobą. Wyznaczcie im codziennie kilka godzin na zwiedzanie i wspieranie dwóch, trzech rodzin. Dla wzmocnienia w nich praktycznej moralności, wprowadźcie je do zakładów ręko-dzielnych, i tam nie oszczędzajcie im widoków straszliwych i wstrętnych: lekcy taka nie może być zbyt twardą, gdyż inaczej nazawsze byłaby dla nich obcą; pokażcie im, osłoniętym od najłżejszego podmuchu wiatru bogatem i ciepłem okryciem, im, śpiącym do wschodu słońca na miękkim łożu, pokażcie im biedne sześciolatek dziewczętką, porwane ze snu, i w zimie, przed świtem, drżące od zimna i zanoszące się od płaczu, zaniezione przez matki do ręko-dzielni. Pokażcie im, w wielkich przemysłowych miastach, biedne dziewczętką ich wieku, z obliczem zgorzałym od spieki, zeszcpecionem często od zimna i wynikających zeń chorób!.. Jeśli pierwszy rzut oka zmusi je cofnąć się, zatrzymajcie je, to nie wizyta dla zadowolenia próżnej ciekawości, to początek obowiązku. Wtedy do łona ich wejdzie ta miłość płodna w piękno i rozkosz, najczystsza z miłości, miłość ubóstwa! Przed naga tą rzeczywistością wędną i gasną, rumieniąc się przed samemi sobą, owe bóle zmyślone i te czułości sztuczne!..

Przyjrzą się tam one życiu i małżeństwu, które dotąd stawały przed ich wyobraźnią jak urocze sny, przyjrzą się im w surowej ich postaci, i zaniepokojonym mężom z chorą dziatwą i z troską matki!.. W ośmnastu leciech, jeśli oddajemy się czemu, toż oddajemy się całym. Te ciągle ćwiczenia w ludzkości, to ustawiczne obcowanie z nędzą, zapełnią ich serca: miłość ogółu, wyruguje miłość jednego.

Potem — praca.

Świat zarzuca bezustanku kobietom obojętność dla poważnej nauki; dowód zaś tej obojętności widzi w tem, iż każda z nich, nazajutrz po staniu się mężatką, bierze rozbrat z książkowym światem i zaniedbuje wszystkie swe talenta: nie jednak nad to nie przemawia silniej za rozsądkiem ich w tej mierze. Co bowiem ich obchodzi, iż Tyberyusz panował po Augustie, a Aleksander W. urodził się na 300 lat przed Chrystusem. Jaki to ma związek z głębią ich życia? Nauka wtedy jeno staje się rozkoszą i podstawą moralną, gdy podniesie się do idei, lub wcieli się w rzeczywistość; gdyż mieć, znaczy żyć, czyli innemi słowy,

myśleć i działać. Dla zdobycia zaś tego celu, dotychczasowy system wychowania młodych panien za lekkim jest, we względzie treści, za ciasnym, wobec czasowego zakresu. Nigdy prawie wykształcenie płci pięknej, niema u nas na celu istotnego udoskonalenia ich ducha, lub wzbudzenia w nich bezwzględnej zamiłowania wiedzy i sztuki: wszystko tu zależy od przyjętej opinii w świecie.

Nauczyciel historii, jest nauczycielem dla dobrego tonu, jak nauczyciel tańców; nauczyciel muzyki, jest potrzebą próżności. Nie w wychowaniu tem niemasz dla myśli i serca, dla tej świątyni pracy. I czyż może być inaczej? Zwykle młode panny odrywają się od nauki wtedy właśnie, gdy nauka staje się płodną, gdy poczyna się powtórne i rzeczywiste wychowanie, które każdy z nas sam sobie daje, gdy umysł zbierając po ziarnku siew wiadomości, nagromadzonych przedtem machinalnie, udoskonala je, przywłaszcza sobie i to, co było jeno śpichlerzem pamięci, przeistacza w istotny pokarm rozważań. Usuniecie dalej ową epokę, w której świat uważa już młodą osobę za pannę na wydaniu, a w ślad za tem rozszerzą się granice pracy ich umysłowej. Wtedy przed oczami kobiety rozwina się wszystkie skarby prawdy, cały blask piękna, wyobraźnia oskrzydli się wraz z rozwojem umysłu i na podwójnej tej podstawie charakter jej urosnie i nabierze istotnej sprężystości.

W końcu po nauce i obok niej, rozrywki. Dla młodzieży rozrywka jest potrzebą. Chcieć zwlekać okazanie córki naszej światu, aż do chwili jej zamążpójścia, jestto natchnąć ją niecierpliwą żądzą stania się mężatką, dlatego, iżby uczęszczać na bale, na widowiska. Jeśli chcecie rodzice zatrzymać dłużej przy sobie wasze córki, starajcie się je rozrywać. Nie jestto ich prawem, lecz waszą koniecznością. Jesteście wiekowi, starajcie się okazać, (niech mi będzie wybaczone to wyrażenie, które najtrafniej myśl moją tłumaczy), niejaką kokieterią wobec waszych dziewczeczek; ubierzcie w kokieterią wasze postacie, by osłonić przed niemi niedostatki podeszłego wieku; obłeczcie w kokieterią wasz umysł, by dom wasz zrobić dla nich przyjemnym i pociągającym; ustrójcie w kokieterią waszą wyobraźnię, by to dostarczało im przyjemności rozrywek. A praca ta wyobraźni tak okaże się wam łatwą! Nie idzie tu o przepychy; wynalazki, na tej drodze, są zbyt ładne: śniadanie zaimprovizowane w lasku; taniec przy fortepianie za całą orkiestrę; i oto wleliście prawdziwą rozkosz w serca waszych dzieci. Czego się obawiacie? Za częstych stosunków z młodzieżą płci męskiej? Nie znamy trafniejszego lekarstwa na olśnienie. Dowodem tego są Stany Zjednoczone. Spozstrzega-

my tam zupełną i niekępowaną niczem swobodę w zachowaniu się panien wobec mężczyzn, ciągle z nimi obcowanie, a wszakże, według świadectwa wszystkich podróżnych, nie prowadzi to za sobą najmniejszej krzywdy obyczajności. My [zaś] usuwamy młodzież od młodych panienek z taką usilnością, iż to wzbudza w nich jeno ustawiczne o tych bohaterach ich wyobraźni marzenia. Chcecie, iżby bohaterowie ci marzeń waszych córek przestali być niebezpiecznymi, pozwólcie, by ich poznały. Czegóż obawiacie się jeszcze? Zalotności? Zalotność, usiłująca wywołać uczucia, których sama nie podziela, jest wadą straszliwą, obmierzłą; lecz chęć podobania się na drodze niewinności, jest to sposób kochania bliźniego. Otwórzcie więc, otwórzcie szeroko wrota do świata niewinnych przyjemności temu zapałowi, który i sam jest jeszcze niewinnością; pozwólcie wiekowi, który jest „snem w kwiatach“, iść w parze z wiekiem rozrywek, one tak przypadają sobie wzajemnie.

Natura przedstawia nam w tym względzie prześliczny obraz. Mrówki, pokąd są małe, wszystkie mają skrzydełka. Oto zabłysła i dla maluczkich żyjatek chwila, w której słońce wiosny opromienia je aureolą miłości. Drobnicy ci kochankowie podnoszą się z brzękiem w eden powietrzny... Lecz skoro błogi ten peryod w życiu ich przeminie, wracają na ziemię i same przedniemi swemi nóżkami obrywają wątle swe skrzydełka, żagle nadpowietrznych swych miłostek. Skończone wycieczki podobłoczne, ustały lekkie czułości, odtąd zaczyna się dla nich życie poważne, mrówki stają się matkami.

W.



Kronika.

Czy też w każdym domu polskim jest elementarz, czy jest śpiewnik, czy jest pismo polskie? — Oto pytania, które warto zadać.

Podaję, że po wiecach i po wielkim zapale, okazywanym na wiecach, wielu pomyślało, że obowiązek spełniony i że już dalej niechaj będzie, jak chce. A może pomyślał niejeden: Założyliśmy „Samopomoc rodzicielską“, to już ona wszystko załatwi. Tak myśleć nam nie wolno. „Samopomoc rodzicielska“ może dużo zdziałać, ale najwięcej zdziałamy wtedy, skoro każdy u siebie, w swoim kole pracować będzie dla polskości — a pracować będzie dla polskości ten, kto nauczy *działawę czytać i pisać po polsku*. Donoszą z różnych stron, że trzeba rodzicom ułatwić nabywanie elementarzy, że w każdej wsi, gdzie jest jakibądź polski skład, powinny być elementarze na sprzedaż. Bardzo dobrze! Powinniśmy ułatwiać *nabywanie* elementarzy, ale mnie się wydaje, że wielu, chociaż będzie miało elementarze pod ręką, ich nie nabędzie i to po prostu

dlatego, że ludek nasz lubi drukowany papier, ale przeważnie wtedy tylko, gdy go otrzymuje za darmo.

Wprawdzie można dla wielu postarać się o elementarze, bo niemal każde pismo polskie zbiera fundusze w tym celu, lecz, żeby dla wszystkich starczyło na elementarz, o tem wątpię. W tym przypadku rodzice nie powinni kilku groszy żałować i choć im nikt elementarza do ręki nie włoży, postarać się, aby dzieciom nie brakło tego najniezbędniejszego podręcznika do nauki mowy ojczystej.

To samo, co pisałem o elementarzach, zastosować by się dało do śpiewników a szczególnie do pism polskich. Ileż to wiosek, gdzie polskiego pisma ani świeć, a ileż to wiosek, gdzie za ledwo jeden jest egzemplarz?

We wsiach zamożniejszych gospodarzy pół jeszcze biedy — przypuszczam bowiem, że gospodarz posiadający kilkanaście mórg ziemi już dlatego samego trzyma pismo, aby się dowiedzieć o cenach zbożowych — najgorzej jednak w dominiach, gdzie pan Niemiec, a robotnik polski.

Nie wielu z tych naszych robotników zdobędzie się na pisemka. Żyją w ciemności, nie wiedzą nic, co się w koło nich dzieje i każdy ich może dla swych celów wyzyskać.

Ba! gdyby to pismo było darmo, możeby ten i ów jeszcze się zainteresował, ale tu trzeba iść na pocztę, pismo zapisać, a co najprzykrzejsze zapłacić.

Dawniej, gdy przeważna część większej własności w polskim była ręką, dziedzic zapisywał dla swego robotnika kilka egzemplarzy pisma ludowego, więc choć trochę oświaty spływało między lud wiejski. Dziś niestety takich dziedziców ubyłoby dużo — ludek sam sobie pozostawiony prawie bezradny.

Na tę okoliczność baczniejszą musimy zwrócić uwagę, inaczej wielkie grozi polskości niebezpieczeństwo.

Kto ma przystęp do chaty robotniczej, niech pod tym względem oddziałuje na robotnika wiejskiego, bo tam najwięcej tego potrzeba. U nas w mieście mało który robotnik nie czyta pisma. Jeżeli mu za trudno samemu, trzyma je razem z sąsiadem. Nie zawsze wprawdzie robotnik dobierze właściwe pismo, jedno jest pocieszającym, że spotyka się stale z poprawniejszym językiem, jaką taką myślą, rozczytuje się w tej lub owej kwestyi mniej lub więcej ważnej. Słowem uczy się nie tylko mowy ojczystej, lecz co stokroć jest ważniejszem, uczy się *myśleć*.

Wydaje się to takie blahe, że *prostaczek uczy się myśleć*, a jednak jest to sprawa wielkiej doniosłości. Kto zaczął myśleć, ten i dalej się rozwijać będzie, w nim pod wpływem zastanowień rozbudzi się *świadomość*, a skoro świadomość rozbudzona, już niebezpieczeństwo germanizacji usunięte. Przy rozbudzonej świadomości następuje łatwo rozeznanie *praw i obowiązków*. Człowiek z rozbudzoną świadomością wie sam, czego chce i wie też, czego od drugich żądać. A więc budźmy świadomość wśród ludu wszelkimi sposobami, to jedno z przedniejszych zadań naszych. Acer.





CZEŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał*

J. Dzierzkowski.

(Dokończenie).

— Powiedziałem, że mnie nic do tego, ani acanu — powtórzył z pewnym odcieniem gniewu Fajski. — Pan hrabia jest pełnoletni i jestem przekonany, że wie co robi. Czuje widać, że gdyby nie sprzedał, jak się uda, toby mu z okazji tego Zaskala skonfiskować mogli cały majątek.

— Cóż znowu?... zkad? za co?...

— Albo oni pytają za co?... skonfiskowaliby i kwita... więc i acan nie pytaj się wiele, tylko szukaj kupców i basta. Grzebikowskiemu nie wydało się to wszystko dosyć uzasadnionem, ale zamilkł.

Z wielkim pośpiechem wyprawiono marszałkowi pogrzeb wspaniały. Z powodu panującego ciągle stanu obłączenia, nie wolno było obywatelstwu bez upoważnienia gubernatora wyjeżdżać za obręb swoich wiosek, Rafał Fajski pojechał do Kamieńca i przywiózł z sobą ogromne mnóstwo kartek upoważniających do przyjazdu, które razem z zaproszeniami na pogrzeb w okolicę porozsyłał.

Zjazd na pogrzebie był więc liczny. Jaki taki przyjeżdżał, bo choć się nie czuł do obowiązku uczczenia w ten sposób cnót nieboszczyka, ale pragnął się przejechać i skorzystać z pozwolenia, o które w innym razie nie było łatwo.

Fajski wyprawił śp. marszałkowi stypę wspaniałą. Lał się szampan, i wszystko czego mogły dostarczyć kredens i spiżarnia, w wielkiej obfitości ukazywało się na stole.

W przerwach pijatyki służyć mającej za lament nadgrobnny powiatowemu dostojnikowi, plenipotent robił interesa.

Z wielkich posiadłości nieboszczyka każdemu z sąsiadów coś przypadło do gustu, gdy się więc dowiedzieli, że sukcesor sprzedaje dobra, z wielką ochotą przystępowali do targu, a gdy się okazało, że plenipotent nie drożył się bynajmniej, zastrzegając jedynie wypłatę gotówką, kilka targów o kilkanaście folwarków prawie na poczekaniu dobito.

Nazajutrz po rozjechaniu się gości, Rafał Fajski kazał Grzebikowskiemu pisać kontrakta, mocą których większa połowa własności ziemskich marszałka przechodziła w ręce cudze, za cenę stosunkowo szalenie niską, osiemdziesięciu kilku tysięcy rubli, z których nadto czwarta część blisko pozostać miała na hipotecę.

— Ależ to poderżnięcie gardła! — zawołał poczciwy ofycjalista — za toby można dostać z zamkniętymi oczyma trzy razy tyle...

— Nie przeczę — odparł Fajski — lecz *necessitas frangit legem*... zresztą co acanu do tego, kiedy ci każą, to pisz.

— Tego na sumienie swoje brać nie chcę...

— Cóż zatem poczniesz?

— Napiszę do hrabiego o wszystkim, co się tu dzieje.

— Ha! to pisz.

List Grzebikowski napisał i na pocztę oddał osobiście. Ale na poczcie był tytularny sówietnik, a ten wiedział zawsze co się w listach znajduje, chociaż ich nie odpieczętywał. Nazajutrz po tej pogroźce Grzebikowskiego Rafał Fajski był także w Kamieńcu i dowiedział się od tytularnego sówietnika o tem, co pisał Grzebikowski, a następstwem tego było, że Herr Johann w Dreźnie dostał kilka talarów za fatygę i koszta ofrankowania, zaś pan Wawrzyniec Grzebikowski w Łaszczyńcach w niespełna tydzień otrzymał list, w którym stało:

Kochany Grzebikowski!

Dziwi mnie, że się mięszasz w nieswoje rzeczy i ośmielasz się dawać mnie rady, których nie potrzebuję, bo jestem pełnoletni, a śp. ojciec mój, o ile mi wiadomo, opiekunem

cię moim nie ustanowił. W zamian za te rady i ja ci daję radę. Idź z tą kartką do Fajskiego i powiedz mu, żeby się z tobą obrachował, a potem wynoś się z Łaszczyńca, żeby cię oczy moje nie widziały, jak powrócę, co zaraz po mojem wyzdrowieniu nastąpi. Bądź zdrow!

Artur hr. Ketteler.

Odebrawszy ten list, Grzebikowski omal nie zemdlął. Ocaliło go od zemdenia tylko to, że nie jest człowiekiem do wielkich powołanych rzeczy, na którego głowie cała spoczywa sytuacja, ale człowiekiem zwyczajnym i małym. Nie wypadło mu zatem mdleć. Poszedł do Fajskiego i obliczył się. Z obrachunku wypadło, że mu się należy dwieście czterdzieści rubli. Fajski mu zaproponował, żeby nadal był posłusznym, pieniędzy nie brał, a już on mu u hrabiego wyrobi, że go pozostawia na miejscu. Ale Grzebikowski się uparł, pieniądze wziął, i tegoż dnia jeszcze przeniósł się z chudobą i rodziną do Kamieńca na bruk miejski.

A w Kamieńcu pierwszą jego czynnością było podać na właściwym stęplu do gubernatora prośbę o paszport do Królestwa saskiego, miasta stołecznego Dreznia.

Chciał widać Grzebikowski szukać u samego byłego kamerjunkra sprawiedliwości i uznania długoletniej pracy w usługach jego ojca spędzonej.

Niestety, na paszport trzeba było czekać aż dwa tygodnie, a przez ten czas Rafał Fajski gospodarował sobie w Łaszczyńcach i przyległych do nich włościach jak mu się żywnie podobało.

XIX.

Pan Artur jadał obiady w oddzielnym pokoju hotelu francuskiego w Dreźnie.

Zbierała się w tym pokoju sama śmietanka przejeźdnego drezdeńskiego towarzystwa.

Tego dnia, którego tam wchodzimy, panu Arturowi towarzyszyło dwóch panów.

Kończono właśnie jakiś *potage* i pogadanka toczyła się w najlepsze, gdy wszedł kelner i z należnem uszanowaniem zapytał pana Artura, który był tego dnia Amfitrionem, czy nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli w tym samym pokoju nakryje pewnemu panu z wysokiej szlachty polskiej, który poprzedniego dnia stanął w Hotel de France i pragnie jeść obiad w restauracji *à la carte*, a sąsiednie salony zdają mu się zabardzo przez gości zajęte.

— Pan z wysokiej polskiej szlachty — ależ to niepodobna, żeby go ktoś z nas nie znał.

— To pewna — potwierdził drugi.

— A zatem proś tego pana — odpowiedział kelnerowi pan Artur.

I zwracając się do współbiesiadników dodał:

— Ktokolwiek z panów zna tego pana, kładę na niego obowiązek, żeby go ze mną zapoznał i do naszego stołu zaprosił.

Gość wszedł i okazało się, że nie był pewnej części towarzystwa nieznanym.

Zaproszono go zatem do towarzystwa, przyjął zaproszenie uprzejmie.

Rozumie się, że nim usiadł do stołu, musiały się odbyć przedstawienia. Prezentacją przyjął nowo przybyły gość w milczeniu, poznając się z hrabią Arturem powtórzył parę razy jego nazwisko.

— Ketteler?... Ketteler?... czy nie z Podola?...

— Tak jest z Podola, panie.

— A! to mnie cieszy niewymownie... i ja także jestem z Podola!...

Nastąpiło ucałowanie w oba policzki.

— Więc pan dobrodziej... — zaczął nowoprzybyły.

Ale poprawił się po chwili.

— Więc pan hrabia dobrodziej skuzynowany może z Kettelerem z Łaszczyńca?

Jestem rodzonym synem, jedynakiem marszałka de Ketteler z Łaszczyńca — odpowiedział z dumą rodową hrabia Artur.

— A w istocie! — zawołał Podolanin — i że ja też mogłem nie poznać!... ależ pan jak dwie krople wody podobny do nieboszczyka ojca...

— Do nie...bosz...czy...ka? — powtórzył pan Artur zdumiony.

— A no jakże?... przecież umarł cztery tygodnie temu...

— Mój ojciec umarł?

— Pański ojciec... jeżeli pan jesteś jego synem... w każdym razie marszałek de Ketteler z Łaszczyńca.

— Ależ to niepodobna! panie łaskawy. Ja nie mam żadnej wiadomości...

— Umarł na apopleksję... to niepojęte, żeby syn mógł o tem nic nie wiedzieć!... W naszej okolicy przez trzy dni o niczem innem nie mówiono...

— Plotka chyba, którą ktoś puścił — wtrącił jeden.

— O takiej śmierci musiałyby przecież stać w gazetach — dorzucił drugi.

— A może i stało w polskich — zauważył trzeci, ale któż tu w Dreźnie czyta polskie gazety?...

— Ja bo ich i w kraju nie czytam — nadmienił z całą szczerością pierwszy.

— Ale toby dobre było — rzekł tubalnym głosem gość z Podola, — toby dobre było, żeby się synowie o śmierci ojców dopiero z gazet dowiadywać mieli... Od czegoż listy?...

— Ja też nie wierzę — odparł hrabia Artur — wprawdzie od miesiąca przeszło nie miałem żadnego listu z domu, ale to właśnie dowodzi, że tam nic ważnego nie zaszło. Musi to być plotka i więcej nic.

— Ha! może i plotka, — nie obstając przy swoim rzekł Podolanin, — zdaje mi się, że dostaję zaproszenie na pogrzeb, ale z niego nie korzystałem, bo się właśnie wybierałem zagranicę... Chyba plotka... I byłbym szczęśliwy, żeby to była plotka, bo nieboszczykowi chociaż go mało znałem, zawsze najlepiej życzyłem, a przy wyborach na marszałka sam mu dałem kreskę, tak mi Panie Boże dopomóż. To też wolę, żeby to była plotka, i dlatego pozwolę mi panowie, że wzniosę zdrowie nieboszczyka marszałka, niech nam żyje w setne lata!...

Spełniono kielichy, starano się rozweselić, ale nie szło to jakoś. Amfitrion był zaniepokojony niezmiernie. Przeczucie mu mówiło, że coś okropnego się stało. Zaraz po czarnej kawie pożegnał swych kompanów, wsiadł do fiakra i pośpieszył na ulicę Poniatowskiego.

— Może dziś jaki list będzie — mówił do siebie.

Wbiegł na schody z niearystokratycznym wcale pośpiechem. Przed drzwiami zastał oczekującego jakiegoś człowieka w szaraczkowej kápocie, którego Herr Johann widać do apartamentu nie wpuścił.

Człowiek ten skłonił się z największą uniżonością panu Arturowi i rzekł:

— Przyjechałem, jaśnie panie, błagać łaski i sprawiedliwości jaśnie pana.

— Ty? Grzebikowski? tutaj? co robisz? czego chcesz?...

— Jaśnie pan mnie wypędził bez litości i niezasażenie.

— Kto? mój ojciec?

— Nie... jaśnie pan.

— Kto taki?

— Jaśnie pan, jaśnie panie.

— Jaśnie pan, jaśnie panie!... niech cię licha porwie jeśli rozumiem... kto cię wypędził, z kąd i kiedy?...

— Jaśnie pan — rzekł Grzebikowski wskazując na pana Artura.

— Ja?... ależ to chyba ojciec mój spędził na mnie tak jak z tą nieszczęśliwą ciocią Giefią...

— Jaśnie panie — rzekł lamentując pan Wawrzyniec — co tu się wypierać — mnie to nie pomoże, a jasnemu panu ubliża... mam tu pismo jasnego pana, a stało się to już w parę tygodni po śmierci jasnego ojca jasnego pana...

— Oszalałeś?... masz moje pismo?... ależ ja nie pisałem do ciebie... mój ojciec umarł? czy wy mnie do szaleństwa chciecie doprowadzić... tamten plótł i ty pleciesz, nie wiem o niczem... chodź!...

Szarpnął pan Artur komisarza za rękaw i popchnął go do mieszkania, którego drzwi Herr Johann już na oścież przed nim otworzył.

— Dzieje się tu coś niepojętego — mówił trąc się po czole, wpół do siebie, wpół do oficjalisty — trzeba zebrać całą przytomność umysłu... Powiadasz, że mój ojciec umarł?...

— Jaśnie pan nie wie?... — zawołał bledniejąc Grzebikowski.

— Głupi jesteś... nie wiem co wiem a czego nie wiem... odpowiadaj na pytania... mój ojciec umarł?...

— Umarł jaśnie panie.

— Dawno?

— Pojutrze będzie pięć tygodni.

— Dlaczego mi nie doniosłeś?

— Telegrafowałem.

— Widać nie doszło... Mówisz, żeś dostał list odemnie?

— Dostałem, jaśnie panie.

— Pokaż.

Grzebikowski pokazał znane nam już pismo.

— Ależ to nie ja pisałem! — krzyknął prawie z rozpaczą były kamerjunker.

— Pismo jednakże jaśnie pana.

— Podobne... sfałszowane!... o jakim on tu Fajskim gada? ja nie znam żadnego Fajskiego!...

— Jaśnie pan nie zna Fajskiego!

— Nie słyszałem nigdy tego nazwiska... cóż to za jeden?...

— Ależ plenipotent jaśnie pana...

— Mojego ojca?...

— Nie, jaśnie pana!... jaśnie pan go przysłał z pełnomocnictwem...

— Ja?!...

Pan Artur chwycił się za głowę.

— Jezus Marya! — krzyknął — i cóż on tam porobił w moim imieniu?...

— Pochował przyzwoicie jaśnie pana marszałka, a potem...

— Potem? powiedź raz...

— Kiedy nie mam odwagi, bo widzę, że to szalbierz jakiś.

— Gadaj! dzieckiem przecież nie jestem, wiedzieć muszę...

— Więc rozprzedał wszystkie majątkości za bezcen, za pół darmo, oprócz Zaskala, bo na Zaskale rząd nałożył sekwestr... Były kamerjunker zachwiał się i upadł jak długi na szeszląg.

— Ruina! jestem zrabowany! zgubiony!

Grzebikowski z Johannem po kilku skropieniach kolońską wódką przyprowadzili go do przytomności.

Ze tegoż dnia jeszcze syn pana marszałka w towarzystwie pana Wawrzyńca jechał na Podole, zbytecznym byłoby dodawać. Cała nadzieja naprawienia złego choć w części leżała w tem, żeby samozwańczego plenipotenta zastać jeszcze na miejscu. Udano się nawet na policję i uzyskano od niej, że na żądania pana hr. Kettelera zawiadomiła policję Kamieniecką, iż Rafał Fajski jest samozwańcem i natychmiast przytrzymanym być powinien.

Te środki jednak nie przydały się na nic. Ani telegram policji dreźnieńskiej, ani tembardziej sam pan Artur z komisarzem swoim nie znaleźli Rafała Fajskiego na miejscu.

Znikł on, przepadł jak kamień w wodę, przeniósłszy tytuły własności wszystkich majątków pana markiza na inne osoby, i zebrawszy w gotówce około stu piętnastu tysięcy rubli, których jednak, jak się zdaje, nie zabrał z sobą, gdyż ów tytularny sowietnik w Kamieńcu, który przez przejmowanie korespondencji tak dzielnie mu sekundował, w owym czasie właśnie został właścicielem kamienicy dwupiętrowej przy jednej z pryncypalnych ulic.

Panu Arturowi z całego majątku pozostały tylko procesa z nowonabywcami o odzyskanie nieprawnie nabytych posiadłości i z rządem o własność Zaskala, tudzież sumki hipoteczne, lokowane na dawnych jego ojca posiadłościach, których pseudo-plenipotent dla braku czasu i gotówki u nabywców nie mógł pościagać.

Od tego czasu ubiegło już lat dwanaście i pan Artur większą część tych procesów w najwyższej instancji powygrywał. Senat rządzący w Petersburgu uznał, że sekwestr nałożony na Zaskale powinien być zdjęty, ponieważ dokumentu sprzedaży tej posiadłości strona prywatna nie kwestyonuje, konfiskata zaś majątku rotmistrza Gradowskiego nie została prawomocnym wyrokiem ogłoszoną. Zaskale zatem pozostało panu Arturowi czyste.

Co do innych majątkości, senat rządzący w Petersburgu zawyrokował, że mają one być zwrócone panu Arturowi, ale za zwrotem ceny, jaką nabywcy ich za kupno wyłożyli, i bez możliwości wynagrodzenia za czas, przez który je posiadali, albowiem nowonabywcy kupując działali w dobrej wierze, straty zaś, jakie pan Artur z tego powodu poniósł, poszukiwać on może na Rafale Fajskim w drodze karnej.

Ponieważ koszta procesów pochłonęły sumy ogromne, a na zwrot sum przez Fajskiego pobranych pan Artur nie miał pieniędzy, musiał przeto każdą odzyskaną majątkość sprzedać i przywłaszczone Zaskale zostało wprawdzie przy nim, ale słusznie mu należny i daleko większy majątek ojcowski zredukował się do zera.

Zeszedłszy na jedną wioskę pan Artur nie uważał za stosowne nosić dalej tytułu, do którego tak łatwo przyszedł zagranicą, zajęty procesami nie miał czasu się ożenić, ani dalej w karierze dyplomatycznej pracować, jednym słowem był dać za wygraną wszystkim świetnym nadziejom, jakie przywiązywał do swojej gwiazdy.

Ale przynajmniej Zaskale — krzywdą tułaczów nabyte — pozostało mu czyste, zauważą Czytelnicy.

Było czyste rzeczywiście na razie. W tej epoce jednak policja wysledziła miejsce pobytu Rafała Fajskiego. Znajdował się on w Lima pod jakimś hiszpańskim nazwiskiem, trudnił się dostawami dla peruwiańskiego rządu, i jak się łatwo domyśleć, robił kolosalne oszustwa.

Na jednym z takich oszustw został schwytany, wtrącony do więzienia, a majątek jego zabrano na pokrycie strat, jakie skarbowi konfederacy peruwiańskiej przyczynił.

Dowiedziawszy się o tem z gazet, które od czasu katastrofy z Fajskim pilnie czytywał, pan Artur zaciągnął znaczną pożyczkę na Zaskale i pojechał do Peru, żeby się procesować z rządem tamecznym, na tej podstawie, że on wprzód przez Fajskiego pokrzywdzonym został, więc ma pierwszeństwo do pokrycia strat swoich z pozostałego po nim majątku.

O przebiegu tego procesu nie wiele wiemy. Rząd peruwiański dopiero po pokryciu swoich strat dozwolił pokrywać straty cudze, a że Rafał Fajski na te ostatnie nie pozostawił funduszów — przeto na kosztą poszła ostatnia wioska Zaskale, tułaczom podstępem wydarta.

Co się stało z p. hr. de Kettelerem?

Mówiono, że z biedy i rozpaczony wstąpił do wojsk algierskich, a że mu się to wnet obrzydło, czmychnął, został schwytany i rozstrzelany.

W proch rozleciał się obszerny majątek krzywdą innych i fałszem nabyty i marnie zginął syn marszałka de Kettelera.

KONIEC.



Do pieśni.

Z głębi mej piersi powstań moja pieśni,
Ty złote dziecię co spisz jak zaklęte,
Wystrzel jak kwiatek z pod zimowych pleśni,
Byś było wonne, wiosenne i święte,
Byś na ozdobę do piersi przypięte,
Nim je ustroisz, nie uwieźdło wcześniej.

Z głębi mej piersi powstań ptasze moje,
Z skalnego gniazda wyleć jak sokole,
Co wielki przestwór w spojrzeń trzyma kole,
Co je rozpoznać po wyniosłem czole,
Rozrzucić szeroko jasne skrzydła twoje,
Upleć w nie blaski jak w tęczy zawoje.

Z głębi mej piersi powstań moja nuto!
W głębi mej piersi rozbudźcie się dźwięki,
By je jak tony srebrnych strun przeczuto,
Kiedy śpiewają z pod mistrzowskiej ręki,
Zbudźcie się z śpiewem słowiczego ptaka,
Wyplyniecie głośno od piersi śpiewaka.

Z głębi mej piersi powstań moje pienie,
Z głębi mej piersi zadzwon głośny śpiewie,
Zadzwon, by zbudzić odświętne natchnienie,
By się zachwiało w swym wietrznym powiewie,
By było falą co duszę rozchwieje,
Że się w lubieżnych oddźwiękach rozleje.

Z głębi mej piersi zbudź się me śpiewanie!
Z głębi mej piersi powstań głosie dumny,
Niech jak miecz twardy wpadnie tve wołanie
Kędy jest orszak słuchających tłumny,
Bądź jako księga sybilska rozumny,
Byś mocą twoją rozbudził świtanie.

Z głębi mej piersi zbudźcie się me słowa!
Zadrzyjcie chwilę w uroczystym blasku,
Jako jutrzienka drży w promiennym brzasku,
Gdy z za gór wstaje przy świtanu nowa,
Zaświećcie w ciemni jako krzyż z bezdroża,
Jako latarnia od zatoki morza.

Co! ty ehcesz śpiewu, kwiatka i dziecięcia,
Śpiewu: jutrzienki, gwiazdy i sokoła!
Tak sam ze siebie nikt śpiewać nie zdoła,
Struna by pękła z pierwszego dotknięcia,
A pieśń by własna musiała mrzeć zcicha,
Bo krzepiącego brakło by kielicha.

Ale weź lutnię, one znajdziesz słońca,
Co je otacza wieniec promienisty,
Co świecą światu z ich nieba bez końca,
A których promień tak ciepły, ognisty,
Że ciepłem stanie za morze natchnienia,
Za wiek przeczcucia i za wiek marzenia.

Weź twoją lutnię! ehcesz śpiewać dla świata,
To mu zaśpiewaj jaką pieśń stwarzania,
Jaką pieśń śmicrei, jaką pieśń konania,
Albo o duchu co w niebo ulata,
Co się podnosi rozumnie, wysoko,
Co tajnie życia w mądre chwyta oko.

A gdy ehcesz śpiewać pieśni dla narodu,
Wtenczas się przesun jak cień przez wieki,
Zamknij przed słońcem bezsenne powieki,
Weź serce trupa do twego zawodu,
I odczuj sercem z jednej szczypty błota,
Wielkie poloty wielkiego żywota.

O są tu jakieś drogi niepojęte,
Które zawiodą ducha w jasne kraje,
Ale są także wiązania zaklęte,
Od których człowiek w swym polocie staje,
I wstecz spojiera i z wielką lubością,
Ściska się żywy z zamarłą przeszłością.

O są tu słońca! z nich się światło leje,
Z nich światło wiedzie po wieków tysiącu,
Po całej warstwie przeszłości zagrzeje,
W jednym niezmiernem żywotnem gorącu,
Tego co szuka zimnych serc zabicia,
Tego co szuka w martwym prochu życia.

Zagrzej ty światło co płyniesz mi z dali,
Kołysz uroki co od ciebie biją,
Zadzwon mi w duszy jako dzwon ze stali,
Gdy w niego w ucztę stu rocznie zabijają,
Kto głos zrozumie, co wieje z pod pleśni,
Ten ma i skrzydła do świecącej pieśni.

Albert Gorowski.





SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM III.

(Ciąg dalszy.)

— Cicho — rzekł Hickory — Orkut wstaje!

Rzeczywiście odzyskał Orkut już tyle przytomności umysłu, aby pojąć, że musi bronić teraz i swego stanowiska, i urzędu.

— To nie jest zeznanie — zawołał gwałtownie — to jest lenistwo i obłąkanie! Panna Dare jest tak umęczona przesłuchiwaniami, że traci zmysły, i nie może być odpowiedzialną za to, co mówi! Pan Ferris zwolni ją zapewne natychmiast i odeśle do domu.

— Muszę przyznać — odezwał się Ferris — że jestem niemniej przerażony. Wczoraj dowiedziałem się od panny Dare zupełnie czegoś innego.

— Protestuję przeciwko powtórzeniu tego! — krzyknął Orkut. — Uniesiona miłością i rozpaczą, przyznała się młoda, piękna i ogólnie szanowana dziewczyna, do zbrodni, której nie popełniła. Zasługuje to na nasze najgłębsze współczucie, ale nikt jej przecież uwierzyć nie może! I czy mój klient zostanie uwolnionym, czy nie, to w każdym razie nie jest on człowiekiem, któryby wolność swoją chciał zawdzięczać takiemu szalonemu przyznaniu się do winy!

— Podzielim zupełnie zdanie pana — rzekł Ferris. — Zwalam pannę Dare z dalszego przesłuchiwania, pomimo, że muszę się zrzec odkrycia ważnego faktu, którego się wczoraj od niej dowiedziałem.

— Pozwólcie mi panowie — odezwała się Iwona śmiało — zostać tutaj dopóty, dopóki nie dowiodę, że ja istotnie zabiłam panią Klimmer! Jeżeli miałam dosyć odwagi na oskarżenie pana Mansella, to muszę mieć teraz też dosyć odwagi na wyznanie prawdy!

— Ale nie dziś! — rzekł sędzia. — Jeżeli pani rzeczywiście mówisz prawdę, to będziesz miała później dosyć sposobności do dowiedzenia jej. W każdym razie wiedz, że zeznanie twoje żadnej nie ma wartości, jeżeli inni nie potwierdzą go.

— Więc zapytaj się pan tego oto pana — zawołała, wskazując na Hickorego — i każ mu powtórzyć rozmowę, jaką owego czasu prowadził z służącą profesora Darlinga w willi. Myślę, że to wystarczy.

Sędzia milczał, Orkut i Ferris także, nikt bowiem nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Ale teraz zupełnie niespodziewanie podniósł się Mansell i prosił o pozwolenie przemówienia kilku słów. Przewodniczący skinął głową.

— Przepraszam — zaczął Mansell głośno i dobitnie — że zwracam się odrazu do wysokiego sądu, mianowicie proszę o przebaczenie pana obrońcy, który tak dzielnie starał się o wykazanie mej niewinności. Gdyby był mniej szlachetnym, obawiałbym się jego gniewu! Przedewszystkiem muszę nadmienić, że i ja nie wierzę w zeznanie panny Dare! Co do mnie, nie mogę się przyznać tak, jak ona do owej zbrodni, ale uczynię wszystko możliwe, aby dowieść, że panna Dare nie jest winną!

Orkut namyślał się, czy nie lepiej zabronić oskarżonemu dalszego mówienia i wstał już nawet, Iwona jednak dała mu znać ręką, aby milczał. Posłuszny jej życzeniu, usiadł znowu, Mansell zaś, spokojny i pewny siebie, odezwał się na nowo:

— Wczoraj jeszcze chciałem korzystać z świetnej obrony, dziś jednak zmieniłem moje postanowienie. Byłbym nikczemnym, tchórzem, gdybym wyzyskał fałszywe zeznanie panny Dare, która nie wiem, dla jakich powodów, oskarża się o popełnienie haniebnej tej zbrodni. Panie adwokacie, powiedziano ci, że drogi przez las aż na dworzec nie można

odbyć w 60 minutach, i uwierzyłeś pan temu. Tylko, jeżeli by się przebyło rzekę, nie dochodząc do mostu, mogłaby stać w Monteit nietylko w 60, ale nawet i w 45 minutach.

Hickory poruszył się niespokojnie.

— Ale jakim sposobem? — zawołał.

— Zaraz to panu wytłómaczę. Jeżeli sobie przypominaś, to tuż za lasem zwęza się rzeka w jednym miejscu tak, że szerokość jej wynosi nie więcej pewnie, jak 10 lub 12 metrów. Otóż przypadek zrządził, że właśnie, kiedy tam przybyłem, leżała na brzegu kłoda drzewa złamanego przez wichurę. Kłody tej użyłem jako łódki, a tyczka jakaś, która także tam się znajdowała, służyła mi jako wiosło. Zapewne dzieci kamieniarzy bawiły się przepływaniem przez rzekę! W kilku minutach byłem na drugiej stronie i tym sposobem mogłem wygodnie zdążyć na pociąg.

Ze tem wyznaniem pogorszył Mansell niezmiernie swoje położenie, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Zniweczył całą obronę Orkuta i stał bezbronny wobec prawa. Oskarżono go o popełnienie zbrodni, a więc sprawiedliwość wymagała kary. Publiczność zapatrywała się obojętnie na tych dwojga ludzi, którzy umrzeć chcieli z miłości dla siebie, wszyscy zaś teraz byli zupełnie przekonani o winie oskarżonego. Wszakże przyznał się, że walczył fałszywą bronią, a kto jest istotnie niewinnym, ten nie potrzebuje zasłaniać się kłamstwem.

Wobec takiego nowego zagmatwania sprawy postanowił przewodniczący odłożyć dalsze rozprawy do następnego dnia. Adwokaci i sędziowie przysięgli zgodzili się na to jednogłośnie, i publiczność szybko zaczęła opuszczać salę.

Iwona była jak nieprzytomna. Czy sędziowie uwierzyli jej zeznaniu, czy nie, dobre imię jej było w każdym razie straconem wobec świata. Co gorsze jeszcze, zdawało się, że okropna ofiara, jaką dziś spełniła, przyczyniła się do popchnięcia w przepaść człowieka, którego nad wszystko w świecie kochała i którego chciała ocalić nawet kosztem własnego sumienia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY.

Za i przeciw.

W biurze Ferrisa spotkali się znowu obydwaj tajni policyjanci.

— Kazałem panów prosić, rzekł Ferris, aby usłyszeli wasze zdanie: czy niezważać na zeznanie panny Dare i podtrzymywać nadal oskarżenie Mansella?

Hickory nie potrzebował ani chwili czasu do namysłu.

— Zdaje mi się, rzekł, że bądź co bądź trzeba raz jeszcze przesłuchać pannę Dare, ubiegającą się o zaszczyt zamordowania pani Klimmer!

— Ale nie można jej przecież wierzyć ani słowa, zawołał Byrd niecierpliwie, pan wiesz tak samo jak i ja, że ona zbrodni tej nie popełniła! I pan także, dodał, zwracając się do Ferrisa, nie wątpisz zapewne o jej niewinności, nieprawdaż?

Zamiast odpowiedzieć na to pytanie, spojrział adwokat uważnie na Hickorego i rzekł:

— Służąca profesora Darlinga opowiadała panu, że gdy owego dnia weszła do obserwatorium, nie zastała tam już panny Dare. Czy to miałeś dziś poświadczyć?

— Tak, zdaje mi się!

— Ale czy ona tam rzeczywiście nie była? Bo wczoraj mówiła mi zupełnie coś innego, że była w pokoju, po za wielką mapą przy oknie, że patrzyła przez lunetę...

— To jest możliwe, przerwał Hickory żywo. I mnie samemu zdarzyło się podobnie. Z początku nie widziałem jej wcale, dopiero przypadkiem, gdy się zbliżyłem do okna, ujrzałem ją siedzącą po za ową mapą.

Teraz powtórzył Ferris policyjantom całą swoją wczorajszą rozmowę z Iwoną, a oni słuchali uważnie, nie dowierzając własnym uszom.

— Nie wiem, co jest prawdą, kończył adwokat, czy to, co mówiła wczoraj, czy to, co zeznała dzisiaj!

— Panie Ferris, odezwał się teraz Byrd stanowczo, Hickory i ja wiemy bardzo dobrze, że panna Dare jest niewinna, i że Mansell istotnie zabił wdowę. Opowiedz pan, dodał, zwracając się do kolegi, całe zajście, jakiego świadkiem byłem w chacie leśnej! Zdaje mi się, że zbyt długo milczeliśmy o tem.

Hickory nie dał się prosić i opowiedział Ferrisowi o podstępnie, jakiego użył w celu wykrycia prawdy.

Adwokat zdumiał.

— W takim razie sprawa wyjaśniona, zawołał z uśmiechem zadowolenia.

— Nie pojmuję, rzekł Byrd, jak było można wogóle wątpić o niewinności panny Dare, pojmuję natomiast jej oskarżenie samej siebie. Otóż z jej punktu widzenia przedstawia się rzecz tak, że ona uważa narzeczonego za mordercę, tymczasem zamiast na niego, padło podejrzenie na niewinnego. Po owej rozmowie w chacie myślała, że Mansell przyzna się dobrowolnie do winy, ale jeden dzień upływał za drugim, Hildret chciał sobie życie odebrać, więc sumienie jej nie pozwoliło milczeć dłużej, i sama zwróciła uwagę naszą na rzeczywiesiego zbrodniarza. Mansella uwięziono, sądy rozpoczęły się, pomimo jednak swego przeświadczenia o jego winie, nie traciła nadziei, że obrońca zdoła go ocalić. I już zdawało się, że sprawa pomyślnie się skończy. bo o ucieczce jego z domu wdowy nikt przecież nie wiedział; nagle występujesz pan z twierdzeniem, że ona musi mieć dowody winy oskarżonego! Nie pozostaje jej zatem nic innego, jak zgubić ukochanego, albo poświęcić siebie. Najpierw wyznaje całą prawdę w nadziei, że to go może ocali, gdy jednak poznaje omyłkę, postanawia wzięść winę na siebie! Jeżeli miała dosyć odwagi na oskarżenie tego, którego kochała, aby ocalić niewinnego, to potrafi poświęcić się, aby ocalić życie narzeczonego! Że Mansell przecież ofiary tej nie przyjmie, o tem nie myślała zapewne!

— Więc pan wierzysz w winę oskarżonego — rzekł Hickory — ja zaś niezupełnie. Nie rozumiem wprawdzie jeszcze wszystkiego, ale jestem przekonany o jego niewinności tak mocno, jak dawniej o jego winie!

— Więc kto jest mordercą? — zawołał Ferris zdumiony.

— Nie wiem — odparł Hickory — Mansell w każdym razie nie jest nim! On przeciwnie wierzy w to, że panna Dare zabiła wdowę, ale milczy, chcąc ją ocalić!

— I da się za to powiesić?

— Nie, bo sądzi, że dla braku dowodów musi być uwolnionym, inaczej byłby się dziś również przyznał do zamordowania pani Klimmer. On uczyni wszystko dla ocalenia panny Dare, ale kłamać nie będzie. Powtarzam raz jeszcze, że ten człowiek jest niewinnym!

— W takim razie musi panna Dare być zbrodniarką!

— Podług jego zdania, tak! Jej słowa: „do jutra może się niejedno zmienić“, naprowadziły go na tę myśl. Pierścionek, który jej dał, a który znaleziono w pokoju zamordowanej, potwierdził jego przypuszczenie.

— Ale pierścionek — zawołał Ferris — musiał wypaść z jego kieszeni! Wszakże zeznała pod przysięgą, że go tam wsunęła!

— Może być, ja tylko chcę dowieść, że on ją uważa za winną. Zaledwie usłyszał o morderstwie, przekreślił fotografię ukochanej dwoma grubymi kreskami. Dlaczego to uczynił? Przecież rozstali się w zgodzie! Listy jej związał czarną tasiemką, jak gdyby ona umarła dla niego! Z tego wszystkiego wynika, że jeżeli Mansell uważa ją jako zbrodniarkę, to on sam musi być niewinnym!

— To prawda, przyznał Ferris, gdyby tylko można czytać w jego sercu.

— Podług mego zdania jest to zupełnie jasnym, dowodził Hickory.

— Więc będąc sędzią przysięgłym uwolniłbyś go pan?

— Bez namysłu!

— Szkoda, że nie udało nam się wówczas pochwycić owego garbusa, rzekł Ferris. Wzbudził on wielkie zajęcie w dniu morderstwa. Nie słyszałeś pan nic o nim?

Byrd uśmiechnął się znacząco.

— Jeżeli go nie znalazłem, szepnął, to dlatego, że go wcale nie szukałem!

— Nie wiem, czyś pan dobrze postąpił, zawołał Ferris szorstko.

— Mogę go dostawić każdej chwili, rozśmiał się Byrd wesoło.

— Jakto, więc go pan znasz?

— Nawet bardzo dobrze! Powinienem był to panu dawno już powiedzieć, ale w naszym rzemiośle jesteśmy tak przyzwyczajeni do zachowywania wszystkiego w tajemnicy, że milczymy nieraz tam, gdzieby się mówić należało! Garbusiem tym był przebrany policyant, do którego spraw nigdy bym się wtrącać nie śmiał, nie był to bowiem nikt inny, jak nasz sławny Gryce!

— Nie może być! krzyknął Ferris zdumiony. Gryce? Doprawdy?

— On sam, poznałem go na pierwszy rzut oka. Kto go tak często widywał, jak ja, ten się omylić nie może. Dla czego tu był w takim przebraniu, to już jego rzecz!

— I pan nic mi o tem nie powiedziałaś! Obecność jego w dniu morderstwa byłaby dla nas nieocenioną pomocą! Szkoda, szkoda!

— Któż mógł przeczuwać, że sprawa ta będzie tak trudną i zawiłą? Zresztą Gryce wyjechał ztąd natychmiast, miał sam tu w okolicy jakąś ważną sprawę do załatwienia i był tak zajęty, że nie chciałem mu nawet o morderstwie tem wspominać. Gdyby na niego było padło podejrzenie, to byłbym go naturalnie o wszystkim uwiadomił, ale wszakże rzecz cała od razu innej wzięła obrót!

— Wiedziałaś pan otem od tego Gryca? zapytał Ferris niezadowolony.

— O tak!

— I on przyznaje, że był owym garbusiem?

Naturalnie!

— Więc mu też opowiadałeś o tem morderstwie, które go przecież musi interesować. Nie wypowiedział panu swego przekonania?

— On nic nie mówi, zanim nie zbada sam wszystkiego dokładnie. Ale czyni to wtenczas tylko, gdy mu sąd jaką sprawę powierzy. Jeżeli kto chce wiedzieć, co Gryce o jakiej zbrodni myśli, to trzeba mu polecić wypośrodkowanie zbrodniarza!

Ferris milczał, ale było widocznym, że gniewał się na Byrda.

— Panie adwokacie, rzekł tenże swobodnie, jeżeli pragniesz zasięgnąć rady Gryca, to uczyni to, bez względu na nas. Przyznajemy obydwaj chętnie, że mądrość nasza nie wystarcza na wyjaśnienie tej tajemnicy, i że Gryce niejednemu już dopomógł!

— Tak, tak, potwierdził Hickory, jeżeli kto, to on rozwiąże tę zagadkę!

— Dobrze, zawołał Ferris, powiedzcie mi panowie tylko, gdzie go szukać obecnie.

— Dziś jest on w Utica, jutro zatem mógłby tu już być!

Ferris zamyślił się na chwilę. Korzystając z tego, zwrócił się Byrd do swego kolegi.

— Zanim oddamy sprawę Grycowi, rzekł, chciałbym wiedzieć, co pan rzeczywiście o niej myślisz. Podług twego zdania jest Mansell niewinnym, panna Dare również, więc kto mordercą?

— Mansell nie, bo on wierzy w winę panny Dare, ona także nie, bo sądzi, że on jest winnym, mordercą zatem musi być ktoś inny!

— Czy może Walery Hildret?

— Może!

— W każdym razie, odezwał się teraz Ferris, jest naszym obowiązkiem uwiadomić pannę Dare, że tym, którego widziała wówczas w chacie, nie był Mansell. Przekonanie jej o jego winie polega głównie na tem, że uważała przygnębienie i rozpacz pana za przyznanie się do zbrodni. Wyrządził pan tem im obojgu ciężką krzywdę, trzeba to więc zaraz wyjaśnić. Panie Byrd, przyprowadź ją tutaj natychmiast!

I Byrd poszedł po lwonę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Złote myśli.

Zapału trzeba, żeby pierwsze złamać lody;
Wytrwałości, by wszystkie zwyciężyć przeszkody.
A. Krasinśki.

* * *

Gotując się do przyszłości wracaj myślą w przeszłość,
tak jak człowiek chcąc rów przeskoczyć cofa się, aby dalej
skoczył.
Mickiewicz.



Arystokratka.

Smugi szarego, jakby prochem przesiąkniętego światła wpadały przez wielkie okna do obszernej sali szpitalnej i wolno zanurzały w zmrok szeregi łóżek żelaznych i blade twarze spoczywające na poduszkach wązkich, odrzynających się jeszcze najostrzej w półcieniu.

Cztery łóżka były zajęte, reszta zaś stała z rozrzuconą pościelą, z której widocznie chorzy wstali przed chwilą, aby się przejść po pięknym ogrodzie, otaczającym „zakład nieuleczalnych“, wciągnąć zbladłymi ustami nieco świeżego powietrza do starganych płuc i napoić zmęczone oczy widokiem słońca, kwiatów i onych wesołych tłumów, snujących się u podnóża klasztoru po białych, szerokich traktach.

Na łóżku najbardziej w kącie zasniętym leżała dziewczyna młoda i ładna. Oczy miała zamknięte, na policzkach ceglaste plamy, usta nieco za duże, otwarte były i szybko, gorączkowo wciągały powietrze.

Głowę jej opasywała chustka mokra i brudna, z pod której wysuwały się kosmyki włosów zwilżonych, lnianych, przybierających jednak w zmroku barwy ciemne, niemal miedziane. W tych ramach twarz chorej wydawała się bladejszą od twarzy umarłych, jeno dwa rumieńce pod oczyma i oddech krótki, gwałtowny, świadczyły, iż dziewczyna żyje, a nawet nie śpi, bo od czasu do czasu powieki wznosiła i patrzyła błędnie oczyma na żelazną krawędź łóżka lub na mały, ścienny zegar, wybijający monotonnie kwadransy i godziny.

Czasami zdawało się, że ona słucha rozmowy, prowadzonej na przeciwległym końcu sali przez trzy jej towarzyski.

— Słyszeliście — mówiła jedna nosowym głosem, wychudłą ręką odganiając muchy, coraz dokuczliwsze pod wieczór. Hartmanowa sprzedała ten zegarek złoty, co z takim nabożeństwem nosiła i wiecie ile dostała?

— No — ile? spytały dwa głosy niskie, piskliwe, nabrzmiące ciekawością.

— Sto pięćdziesiąt guldenów.

— At! gdzieby tam za stary zegarek stopięćdziesiąt dali! — odparła jedna z interlokuterek.

— Mówię wam, Macielińska, mówię wyraźnie: sto pięćdziesiąt.

— Skądże ona wyrwała takie cudowności? Taż to majątek cały.

— Phi! — wtrąciła pogardliwie trzecia, prawą ręką wyciągając sparaliżowaną lewą z pod kołdry. Siostra moja ma dwieście okrągłutko złożonych w banku, a przecie się nie pyszni i nie zadziera nosa jak Hartmanowa...

— A jakże... przerwała drwiąco Macielińska — jedna siostra miałaby okrągłutko dwieście, a drugaby leżała w szpitalu na łasce.

— Jaka mi tam łaska — odburknęła paralityczka — niby to ja nie płacę. Piję codziennie rosół, a wy co?

Wzmianka o rosole widocznie zaimponowała, bo zgryźliwe chore umilkły.

Po chwili jednak Macielińska podjęła znowu rozmowę.

— Będzie teraz Hartmanowa herbatę piła na obiad z mlekiem, a rosół to pewnością ze sześć razy dziennie.

— Głupiecie wy — rzekła paralityczka, która widocznie czuła się jeszcze obrażoną — słyszał to kto pić herbatę na obiad?

— A Woźniarska niby dużo słyszała o herbacie, co, — odcięła się Macielińska.

Paralityczkę porwał kaszel, więc dopiero po chwili odrzekła pogardliwie:

— Pewnie ja więcej herbaty piła w życiu, niż wy studziennej wody!

Znowu umilkły...

Korytarze klasztorne napełniły się gwarem i wrzawą. Do uszu chorych doleciał miarowy odgłos kroków dziecinnych, które szły z ogrodu do refektarza.

Głosy te zgłuszyły na chwilę ich rozmowę.

Ciszę przerwał kaszel, suchy idący z przeciwległego końca sali.

— Zośka ty nie spisz? — spytała Macielińska.

Lecz dziewczyna nie odpowiedziała. Może spała, a może myślała o dobrych czasach, kiedy w Postulówce chodziła żwawa, strojna zalotna, na spojrzeń parobczaków zuchwałemi odpowiadając spojrzzeniami i rywalizując wdziękami z najpiękniejszą pośród nich Tereską.

— Coś i dziewczyna zaczyna nosa zadzierać. Wczoraj rozmawiała z Hartmanową i już jej się w głowie przewróciło! — mruknęła Macielińska, gniewna, iż omija ją pogadanka, a po chwili dodała?

— No, a wy nie wiecie Szpakowską skąd Hartmanowa zegarek wzięła?

— Nie wiem, ale słyszałam jak siostra Anna mówiła Polańskiej, że Hartmanowa z wielkiej, niemieckiej rodziny pochodzi.

— A bogatej?

— Juści bogatej, kiedy mówię, że wielka.

— To pewnością zegarek ma od rodziny?

A no pewnie.

Paralityczka słuchała obojętnie rozmowy, dopiero pod koniec wyrzekła sentencyonalnie:

— Z wielkiej, czy nie wielkiej, zawsze odpowiada się po ludzku, gdy do człowieka zagadają. I ja z wielkiej rodziny Woźniarskich, a przecie po chrześcijańsku rozmawiam. A Hartmanowa to ledwie mruknie: dzień dobry i dobranoc. Ot! stara brukiew!... Arystokratka!

W drzwiach ukazał się biały kornet zakonniczy.

— Chore nie wróciły jeszcze z ogrodu? — spytała.

— Nie, siostrze! — odparło kilka głosów.

Drzwi zamknęły się cicho i cicho uczyniło się na sali... słyhać było jeno przyspieszony oddech dziewczyny i głośne westchnienia trzech kobiet leżących naprzeciw.

Po chwili zbliżyć się poczęły w korytarzu stumione głosy i kroki ciężkie, powolne. Wreszcie otworzyły się drzwi i do sali weszło kilkanaście postaci nędznych, wybladłych, podobnych do kerowodu upiórów i mar.

Razem z niemi wpłynęła na salę fala westchnień, jęków i skarg żalonych, do łkania zbliżonych, przerywanych wzywaniem Boga i świętych na pomoc i świadectwo ich niedoli...

Siostra zapaliła lampkę purpurową, zwieszającą się od sufitu przed obrazem

Częstochowskiej; chore zaś rozbrajały się i kładły po kolei...

Położyły się wreszcie wszystkie.

— Dobranoc siostrze! zawołał chór głosów.

— Dobranoc! odparła łagodnie siostra i wyszła...

Lampka świeciła blade... Czerwone jej światło padało tylko na łóżka stojące pod nią, dalsze stały w cieniu zupełnym, milczące, zarysowując się czarnymi liniami na tle nocy...

Ciszę przerywało tylko od czasu do czasu głośniejsze westchnienie, lub szmer obracającego się we śnie ciała.

Miarowy oddech śpiących i tykanie ściennego zegara, ukołysowały monotonna, smutną nutą tych, którzy jeszcze nie spali.

W ostatnim rzędzie, pod numerem 16-ym postać jakaś zgrzybiała, wychudła, siedziała nieruchomo na łóżku...

Światło lampki padało wprost na nią, i wydobywało z ciemności twarz białą jak opłatek, żółtą miejscami, pomarszczoną, o rysach bardzo pięknych jeszcze i regularnych, oczy otwarte, dziwnie smutne i jakby zapatrzone w przedmiot ukochany a daleki i usta wązkie, zaciśnięte, nie przywykłe śnać do uśmiechów.

Włosy zupełnie białe, różowe w świetle, zsuwały się na czoło i na skronie aż do szyi żółtej, jak wosk kościelny, wyruszającej się z perkalowego kołnierza.

Modliła się, lecz myśli jakies natarczywe przerywały ciągle wątek modlitwy. Ustawicznie bowiem kształtną ręką szukała czegoś na stojącym obok stoliku. Znalazła wreszcie to, czego szukała i położyła na kolanach. Była to podstaweczka do zegarka. Połamana, zniszczona, splowiałym aksamitem wybita, wysłużyła się widocznie długo.

Staruszka przypatrywała się jej uważnie, a duże łzy jej spływać po policzkach wybladłych, pokrytych zmarszczkami.

Była podstawka — zegarka już nie było...

Za chleba kawałek wyrzekła się całego szeregu wspomnień związanych z ową pamiątką, zerwała z tą przeszłością świetlaną, o której mówiła jej jeszcze ona jedynie... wszystko zerwała i wszystko oddała... za kawałek chleba... Ale jej tak głodno było... tak głodno.

Przywykła dawniej do potraw wytwornych, musiała dziś poprzestać na suchej bułce, filiżance ryżowej zupy i ochłapie mięsa, które jej z łaski w szpitalu dawano. Cóż dziwnego, że zgodziła się w końcu na sprzedanie drogiej i cennej pamiątki!

Łzy jednak kręciły się ciągle w jej oczach i spływały jedna po drugiej na piersi...

Nagle przyszło jej na myśl, że uczuciem bardzo miłym jest nasycenie się. Że zaś poczuła w tej chwili, iż jest ogromnie głodną, pomyślała natychmiast, że już głodną nie będzie ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień, ani za dwa...

Wsunęła podstawkę pod poduszkę i modlić się zaczęła na nowo.

Czy pani śpi? — ozwał się tuż obok niej głos pytający, a pokorny.

Staruszka ujrzała na sąsiednim łóżku dwoje dużych, błyszczących oczu, wpatrzonych w nią.

— Nie, Zośka! — odparła szeptem.
— Czy to prawda, że pani zegarek jakiś sprzedawała za sto pięćdziesiąt papierków?

— Sprzedałam, — odrzekła niepewnie i jeszcze ciszej.

— Pani będzie piła teraz herbatę z mlekiem na obiad i sześć razy rosół? Herbata dobra? co?

Dziewczyna miała śnać gorączkę. Mówiła bowiem szybko, urywanie, podnosząc się od czasu do czasu na pościeli. Oddech jej był swiszczący.

Herbata dobra z mlekiem? — spytała po raz wtóry.

— Dobra....

— Ja nigdy nie piłam herbaty ale mleko!... Żebym to ja tu choć raz mleko dostała.

Westchnęła głęboko.

— A ty co dostajesz, Zośka?

— Polewkę na rano, a na obiad zupę ryżową, albo grochową i mięso z kaszą. Pani dostanie teraz sześć talerzów rosółu.

— Któż ci to mówił?

— Macielińska mówiła.

Umilkła, a po chwili spytała:

— Co to znaczy: rystokratka?

— Arystokratka?

— Aha!

— Jakby ci to, Zośka, wytłumaczyć? Arystokratka, to osoba, pochodząca z dobrej rodziny.

— Tak jak sparaliżowana Woźniarska? co?

Staruszka uśmiechnęła się.

— Dlaczego pytasz, dziecko?

— Bo Woźniarska powiedziała, że pani jest stara brukiew i rystokratka.

Nie trzeba, Zośka, nigdy powtarzać jednym, co się od drugich złęgo o nich słyszało.

Umilkły znowu obie.

— Proszę pani.

— Co?

— A pani piła już kiedy herbatę z mlekiem?

— Piłam.

— A samo mleko?

— Piłam.

— Prawda, jakie to dobre?... ojoj! jakie dobre!... a rosół?

— Rosół także dobry.

Dziewczyna mówiła coraz niewyraźniej, stawiając pytania jedne po drugich.

— Śniło mi się wczoraj, proszę pani, że przyszedł Święty Józef, ten, co wisi w ołtarzu w Postulówce i powiedział: prosz Zośka o co chcesz, a ja ci dam. A ja złożyłam ręce i prosiłam o mleko i rosół. Święty Józef wysłucha — co?

Staruszka milczała chwilę, wreszcie odparła wolno:

— Może wysłucha....

Dziewczyna usypiała, ale coraz większa gorączka opanowywała ją, bo słowa jej stały się niezrozumiałymi i bezzwładnymi.

— Śpij Zośka — dobranoc!

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Po chwili spały obie.

Zrana obudziło staruszkę wejście zakonnicy.

Krzętała się ona, przynosząc śniadanie tym, które o własnych siłach wstać nie mogły. Chore zaś niektóre ubierały się szybko, aby zdążyć na Mszę.

— Siostrzo Cecyljo — rzekła, gdy zakonnica zbliżyła się do jej szeregu —

niech siostra każe mi dać na śniadanie to, co zwykle mi dawano i na obiad to, co zwykle.

Dlaczego? Wszak pani złożyła 30 zł. na rosół, herbatę i poprawienie wiktów?

— Za te 30 zł. będą siostry dawały mleko Zośce i rosół i wogóle wikt lepszy, dobrze siostrze?...

Z pod kornetu dwoje poczciwych, łagodnych oczu spoczęło na mówiącej.

Tu jest jeszcze sto dwadzieścia guldenów — dodała po chwili staruszka — proszę to wziąć... dla Zośki.

A Zośka wielkimi zdumionymi oczyma patrzyła na nią...

Marya Colonna Walewska.



Przebudzenie.

Kiedy noc ciemna osłoni błękity,
Anioł skroń dziecka śnieżną muśnię dłonią,
Kleją się oczka, śpi chłopczyk spowity, —
Wnet go czarowne obrazy osłonią:
Uściski matki, siostrzyczek pieszczoty
Łączą się w marzeń łańcuch szczerzoty.

Mijają chwile, a senne marzenia
Coraz inaczej, dziwniej się plota:
Dawne wypadki i nowe wrażenia
Na przemian władną maleńką istotą —
Znikł obraz szczęścia, a przed duszą wstają
Jakieś poczwary nieprzejrzana zgrają.

I przez sen dziecię rzuca się i kwili,
Duszycką jego wstrząsa ból i trwoga —
Lecz cyt... śpiew jakiś ozwał się w tej chwili;
Budzi się dziecię — o! to matka droga!...
Wyciągło rączki... przed obliczem matki
Potwornych marzeń pierzchnęły ostatki.

Zycie-sen mówią; bo jak sen[się wije,
I jak snu słodkie pierwsze jego chwile;]
Lecz kiedy próby godzina wybije,
Schmurzy się niebo — ulecą motyle,
Opuszczonemu od ludzi i Boga,
Długa walk, cierpień, otwiera się droga.

Ach! ileż trucizn, przepaści, zawodów,
Ile majaków złudnych na tej drodze —
Jedni z rozmysłem lecą w przepaść lodów,
Drudzy brną oślep zrozpaczeni srodze;
A tak śpią twardo wśród ponurej ciszy,
Że głosu matki żaden nie dosłyszysz.

Ale ten zegar, co im do snu bije,
Kiedyś przebudzeń godzinę wydzwoni;
I jasno przejrzy duch, że jest, że żyje,
Że bytu swego nigdy nie uroni —
A wtedy w duszy zniknie wszelka trwoga,
Bo wiecznie pojmie i ukocha Boga.

Śród kwiatów, cierni, wichrów i błękitów
Sen mój trwa długo i nie widać końca;
Lecz już pieśń słyszę gdzieś od niebios szczytów
Co jak śpiew matki rwie mnie tam do słońca!
Może świt bliski... zbudzę się... stęsknioną,
Duszą uleczę w dal — na Stwórcy łono!..

Wincenty Stroka.



Ślubna suknia.

I.

...I dziś równie wstępując do rzęsiście oświetlonej sali pałacu Lambertów, pięknej pani Julii gwałtownie biło serce...

Pomyśleć, że rok rocznie powtarza się to samo z matematyczną ścisłością! Począwszy od wejścia do wspaniałego westybulu, pochłaniają ją wspomnienia błogiej przeszłości, owej słodkiej przeszłości, gdy jako dziecię szczęśliwe, wesołe, przybiegała tu co dnia dla wspólnej zabawy z małym paniczem. Córkę skromnego oficjalisty przypuszczano do tego zaszczytu przez wzgląd na jej miły układ i dobre wychowanie. Pani baronowa, w obawie niesfornych figlów mężkich towarzyszy, zapraszała do wspólnej zabawy z synem dziewczynkę.

Dzieciaki od pierwszego dnia w grze w pana i w panią wyznali sobie miłość wzajemną. Później kochali się coraz serdeczniej, ale mówili o tem coraz mniej. Bo i na cóż wyznania? Czyż przed wyjściem z niemowlęstwa nie rozumieli przepaści społecznej, która rozdzielała ich raz na zawsze? Cóż bowiem łączyć mogło możnego panka, posiadacza jednej z pierwszorzędných cukrowni w kraju, z ubogą córką zwykłego buchaltera, wychowaną skromnej szkoły fabrycznej?

On po dojściu do pełnoletności, wyjechał na studia zagranicę; niezaspokojone pragnienie młodości usiłował zapełnić miłością dla sztuki — oddawał się z kolei malarstwu, rzeźbie, holdował muzyce i powrócił do kraju znudzony wszystkim potrosze.

Dla „odmiany“ ożenił się z dystyngowaną hrabianką i został tytularnym dyrektorem cukrowni, reprezentując na posiedzeniach towarzystw handlowych wielki przemysł z miną zblazowanego paniczka.

Ona wyszła za mąż za pomocnika swojego ojca; zasklepiła się w gospodarstwie i pędziła dni kłopotliwe wśród trosk o dzieci i borykania się z codziennymi potrzebami skąpo zaopatrzonego budżetu. Z zacisza domowego nie wychodziła wcale, skrępowana materyalnym brakiem i wynikającym zeń łańcuchem powszednich obowiązków. Raz tylko w roku pojawiała się na balu fabrycznym, jednoczącym zwyczajem tradycyjnym całą administrację wielkiego przedsiębiorstwa.

W dniu tym falowały zalotnie sploty włosów — o wydatku na fryzyera nie można było myśleć — i wyjmowała z szafy jedyny strój świąteczny — suknię ślubną.

Przy wejściu do sali serce jej zabilo gwałtowniej na widok Pawła, jej kochanego Pawelka z lat dawnych, który z wytwornością wielkiego pana pełnił obowiązki gospodarza domu. Pięknym jej się wydał i imponującym, pomimo ironicznego śmiechu w kącikach ust i podbitych oczu, spoglądających gdzieś w dal z wyrazem obojętności i apatyi. Spracowana ręka Julii, oparta na ramieniu buchaltera, zadrżała nerwowo; pomyślała:

— Czy powita ją po dawnemu?... Czy powita?..

Podczas gdy mąż jej, podniecony światłem i muzyką, podbiegł ku znajomym i oddał się skocznym tanom z groteskową ochotą, ona zajęła zaciszny kącik małego buduaru.

Co rok — i w roku zeszłym jeszcze — po kotyllonie, w czasie gdy wesoła drużyna dążyła do bufetów, Paweł przychodził wypocząć przy jej boku.

Usiadła i teraz zatem w uprzywilejowanym miejscu, aby mógł ją znaleźć odrazu, jeśli nie zapomniał jeszcze o niej.

Ale czy nie zapomniał?

Tęskny niepokój szarpał jej duszę. Dla zabicia czasu pograżyła się w błogiem rozpamiętywaniu przeszłości, która minęła bezpowrotnie.

Zatopiona w słodkich marzeniach, nie słyszała szeptów pochlebnych, obiegujących dokoła:

— Jakaż to piękność zagadkowa w ślubnej sukni, bez kwiatka we włosach, kryje się w tajemniczym zaciszu?

Podczas kotylliona Julia ożywiła się, ale pomimo licznych zaproszeń, nie opuściła stanowiska.

Gdy muzyka ucichła, tłumy podażyły do jadalni, pozostała sama wobec amfilady pustych salonów. Dreszcz wstrząsnął jej ciałem, a w uszach brzmiały bolesne słowa:

— Zapomniał!... Nie przyjdzie więcej!...

II.

Odgłos kroków, tłumionych przez puszystość dywanów, pozbawił ją nagle oddechu. Przed wzrokiem rozpromienionym ukazał się baron.

Usiadał przy niej na otomanie.

Jakieś blaski zamigotały w ich źrenicach, jakieś cienie rumieńców wybiegły im na lica.

Zaczął mówić głosem cokolwiek niepewnym:

— Wiem, że mieszkasz daleko, że dzieci, gospodarstwo i liczne troski zatrzymują cię w domu. To też z całego serca dziękuję za to, żeś przyszła. Gdybym cię nie widział raz do roku, na zwykłym miejscu, gdybym się nie napałwał widokiem tych pięknych włosów i białej powłóczyściej sukni, w której ci tak do twarzy, życie nudniejszemby mi się wydało i stokroć bardziej nieznośnem.

Powtarzał jej to samo niemal słowo w słowo rokrocznie, ale dziś w głosie jego brzmiała większa gorycz i silniejsze zniechęcenie. To też usiłowała nadać przyjacielskiej pogadance nastroj weselszy.

— I ja wyczekuję tradycyjnych odwiedzin w miejscu, w którym niegdyś dokazywaliśmy tak obojętnie. Gdyby mój dawny towarzysz zabawy skrewił, czułabym się mocno obrażoną...

Chciała żartować, ale głos załamał się przy ostatnich słowach, a całość odpowiedzi brzmiała fałszywie.

Zatapiając wzrok w jej spojrzeniu, Paweł pytał głosem stłumionym:

— Czy jesteś przynajmniej szczęśliwą?

— Ja?... Tak... A pan?

Wzruszył ironicznie ramionami.

— Ja?... Mniejsza o mnie... Tak mało mamy czasu... Pomówmy o tobie... Ciężkie są wasze warunki bytu? Przyszaj... bez fałszywego wstydu, mogłabyś być bardziej szczerą ze starym przyjacielem.

— Przyznaję, że musimy się rachować. Ale mąż mój za swą pracę odpowiednio jest wynagradzany.

— I ja nic dla ciebie uczynić nie mogę! To denerwujące!... Ofiarowałem jemu korzystną posadę agenta — nie przyjął.

— Wiedział, że należała się starszemu i bardziej zasłużonemu koledze. To człowiek prawy, nie przecenia swych zdolności i nie chce stracić w opinii kolegów...

— Ależ, jakto?...

— A przytem posada nowa wymagałaby ciągłych podróży...

— I coż ztąd?

— A on się zadowolił — nie chce opuszczać dzieci...

— A zwłaszcza żony — dodał baron z źle tajonym gniewem.

Potrząsnęła głową.

— Ach! Po sześciu latach małżeństwa...

W oczach Pawła zamigotały gorętsze błyski. Przysunął się bliżej i zapytał z ożywieniem:

— A ty? Czy kochasz go tak, jak w pierwszych dniach?...

— Tak.

— Jak ty to mówisz rozsądnie!

— Bo i przywiązanie moje jest rozsądne.

Wzrokiem czystym, spokojnym spojrziała na Pawła. Oddali się rozpamiętywaniu wspomnień dzieciństwa. Po chwili przerwał głosem gorączkowym:

— A jednak myśmy byli stworzeni do innego życia, do innej miłości.

Odparła wymijająco:

— Kto to wiedzieć może...

Pochylił się ku niej.

— Ja wiem. Ja czuję to coraz gwałtowniej. My się i teraz kochamy, choć nie wyznałszy sobie tego nigdy.

— Bo i na co by się przydały podobnie spóźnione wyznania?

Błagalnie złożyła ręce?

— Nasz stosunek tak był dyskretny, miły i czysty razem. W pośród szarych mojego życia, kwiat to najbardziej promienny... Dlaczego chcesz go pan podeptać?... Ach nie poniewieraj go...

Na rzesach jej zaszklily się łzy.

W obec tej niemej rozpaczki nie śmiał wymówić słów, które rwały się z ust, zapomniał nad sobą, a żal jego wyraził się w lekkiej ironii.

— Widzę, że pozostaniesz zawsze kobietą rozsądną, przytomną i nieposzlakowanie uczciwą.

I ona usiłowała żartować:

— Uczciwość, to nasza wada rodzinna. Moja matka miała tę słabość. Ja pragnę iść w jej ślady, aby z kolei córki mnie naśladowały.

Niezłomna wola malowała się w twarzy podniesionej dumnie.

Paweł ciągnął z goryczą:

— A ja muszę się zadowolnić cieniem cienia flirtu, którym damy naszego towarzystwa darzą pierwszego lepszego salonowca. I widzieć mi cię wolno jedynie raz do roku, podczas festynu oficjalnego, przez dziesięć minut w czasie kolacyi.

— Tak. Na tem samym miejscu i w tej samej sukni ślubnej.

Gniew nim ogarnął w obec tej upornej rezygnacyi. Zawołał drwiąco:

— Gotowem się założyć, że ta ślubna suknia jest rodzajem talizmanu, że no-

sisz ją jako tarczę małżeńskiego honoru.

Poruszona do żywego złościwością, odpowiedziała jednak odważnie:

— Kładę ją głównie przez oszczędność, ale i to prawda, że związany z nią powinien przesąd.

Chciał, aby przecierpiała cząsteczkę tego, co sam cierpiał w tej chwili.

— Tyle lat!... Suknia musi być dość zniszczona...

— Nie bardzo... To materyał trwały... Starczy mi do końca życia.

— Być może... A jednak przyjdzie chwila, gdy ta tradycyjna szata okaże się tak niemodną, iż nie będziesz miała odwagi jej włożyć.

Przymknięte powieki zatrzepotały z nadmiaru cierpienia, głosem, w którym coś zdawało się zamierać, wyrzekła:

— Podobne następstwa pociągną za sobą inne, poważniejszej natury. Gdy stanę się nadto śmieszna w twoich oczach, zapomnisz o mnie, przestaniesz mi się kłaniać! A ja zrozumieję co to znaczyć będzie... Nie przyjdę więcej... Nie odczuwając potrzeby jasnej toalety, ufarbuję ją na czarno i donoszę po domu...

Teraz dopiero odczuł całe okrucieństwo swej zjadliwej ironii.

Oboje byli śmiertelnie bladzi i pomieszani...

III.

Nagle w drzwiach buduaru ukazał się mąż, nawołujący żonę z rubasznym humorem do „kapitalnej“ zakąski.

Paweł szepnął szybko:

— Byłem szalonym, Julio! Przebacz!

Przebaczyła odrazu wejrzeniem głębokim, na pół pocieszona podała mu rękę:

— Do widzenia...

— Do widzenia.

— Za rok?

— Za rok.

Oparta na ramieniu męża, potrząsnęła z wdziękiem jasną główkę i głosem, w którym brzmiał żal, jak gdyby raz jeszcze chciała usprawiedliwić swą duszę nazbyt filisterską i w ciasnej etyce zamkniętą, rzekła, składając wdzięczny ukłon:

— Na przyszły rok zechce mnie pan baron przyjąć również w ślubnej sukni... Na zmianę mnie nie stać. To wszystko, co posiadam...

M. Jokay.



Jeszcze wciąż można zapisać

„PRACĘ“

na bieżący kwartał

W obrębie państwa niemieckiego jest każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę

Uwaga! Przy zamówieniu na poczęcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.